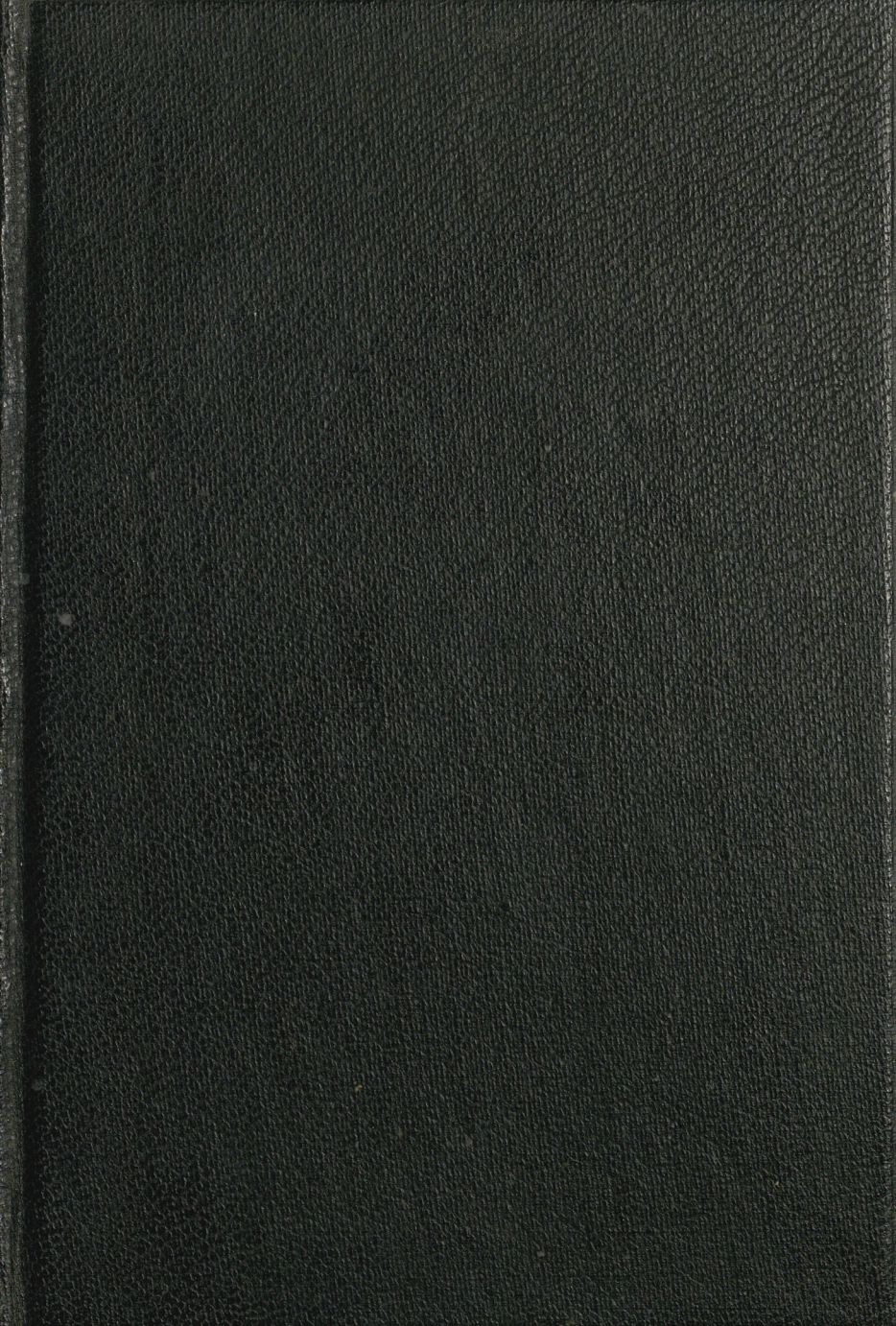




BIBLIOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczy obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

8396

MAY 16 '38

JAN 5 '40

SEP 3 '41

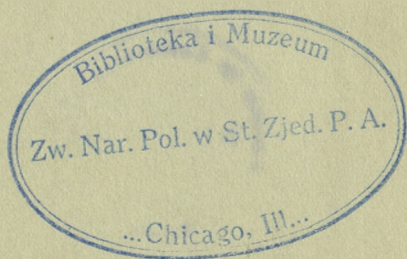
JUL 15 '46

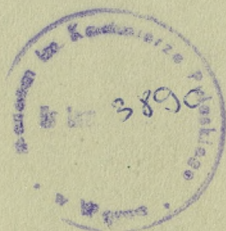
JUL 2 '51

DEC 28 '51

JUN 7 '52

AUG 13 '52





6.
8396



Printed in Poland

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA



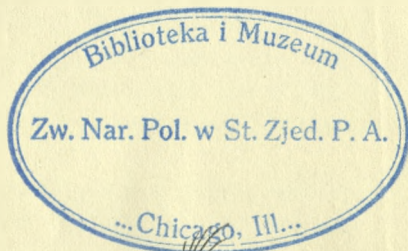
WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

 JULJAN TUWIM

8396

TREŚĆ GOREJĄCA

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA MCMXXXVII J. MORTKOWICZ

**Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego
w Warszawie, Rynek Starego Miasta Nr. 11**

CHRYSTIANE

Wszystko było tak samo,
Tak było i tak samo.
I tak, i tak, i tak, i tak,
Zawsze i zawsze, zawsze.

Wszystko było tak samo,
Tak było i tak samo.
I tak, i tak, i tak, i tak,
Zawsze i zawsze, zawsze.

Wszystko było tak samo,
Tak było i tak samo.
I tak, i tak, i tak, i tak,
Zawsze i zawsze, zawsze.

Wszystko było tak samo,
Tak było i tak samo.
I tak, i tak, i tak, i tak,
Zawsze i zawsze, zawsze.

PAMIĘCI OJCA

OCZEKIWANIE

Zażenowany swem anielstwem,
Udaję (dosyć źle) człowieka.
I serce, aż nieludzko czerstwe,
Zacynam w samotności. Czekam.

Znam ewangielję i nieszczęście,
Narodów tentent, szeptu kobiet,
I starość słów i snów poczęcie
I wino czad i kwiat na grobie.

I ducha znam, co bez wcielenia
Na ziemi jest jak głoska głucha,
I ciało — nie do pomyślenia
Bez łaski i świętego ducha.

Czekam. W przypływie i odpływie
Kołysze się daleki poszum,
I dzień po dniu, jak dziw po dziwie,
Wybucha płaczem lub rozkoszą.

Wybucha kwieciami, jak gałęzie,
Odfruwa ptactwem gołębianem.
Ach, moje życie, co to będzie?
Ach, moje wiersze niespodzianek!

COŚKWIWAŁ

Wszystko jest miłe i miłe,
Ileż (daję się) kocham.
I wiesz, że niechciałem
Zaczekać w samotności.

Żeś ewangelizy i mistyka,
Płaczem i śmiechem, wiesz, kocham.
I słodko śpię i wiesz, kocham.
I wiesz, żeś i kocham na kocham.

I dusza moja, co jest w duszy,
Na kocham i kocham kocham.
I kocha — nie do kocham.
Bez laski i kocham kocham.

Czekam. W kocham i kocham.
Kocham i kocham kocham.
I kocham i kocham kocham.
Wybucha płaczem i kocham.

TEOGONJA

W imię ojca i syna, z których się duch poczyrna,
Opowiadajmy dzieje.
Ojciec chmurzyska ganiał, mroczne bydło poskramiał
I kosmate zawieje.

Ugory nocne orał, z czarniachami się porał,
Karczował uroczyńska.
Straszny był, niewidomy — i gromy-niebołomy
W otchłanie miotał z pyska.

Przez moczary ciemności brnął w zawziętej pewności,
Że praca niedaremna.
Wyl, huczał małowiele: miliard lat; aż w niedzielę
Sfolgowała moc ciemna.

Stary się spać zawalił, a już Młodzianek wdali
Prześwitywał złotawie.
Rumieńcem płonił wody, nazieleniał ogrody
Ku onej przyszłej sprawie.

Nazieleniał, rumienił, promieniał, blaskiem mienił,
Jak to do dzisiaj czyni.

Światłość ciepłą nasila — i fala się rozchyła,
I wypływa bogini.

W imię ojca i syna, z których się duch poczyňa,
Opowiedzieliśmy dzieje.

Kwiat pachnie, słońce świeci, rodzice miłują dzieci
I dziewczyna się śmieje.

ŹRÓDŁO

Siostrze

Dojrzałości!

w tobie tylko ta «źrz» prastara została żywa;
jeszcze mniej:

bo tylko «z» i «r» przetrwały ziarnem w słowie
Wszystko inne przybyło, przyrosło, [tkwiącem.
aż się stało okrągłym okrzykiem-owocem:

O, Dojrzałości! słodka, soczysta, ale nieprawdziwa.

Przybyło z potrzeby, z rozumu, z tęsknoty za wyrazem:
doskonałym, skończonym dla smutku i dla radości;
bo potem owoc już spadnie—z samej doskonałości,
z ciężaru i spełnienia; to przychodzi razem.

Nad źródłem pochylony—w mijaniu utkwilem źrenice,
nad kwiatem zamyślony—kwiat bezmyślnie zrywam.
Dojrzałości!—szepcę—poco mi było życie?
Zacząłem się w prawdzie dalekiej. I w niej przebywam.

PRZYGLĄDAJĄC SIĘ GWIAZDOM

Czy pamiętasz chaos młode,
Mglisty zamiar niebieskawy,
Bezdźwięk błogi, cel łaskawy,
Gdy wypłynął duch nad wodę?

Gdy się lęgło, gdy się częło
Wątlą mgielką, pierwojędrem,
Gdy się ciało słowa jęło
Pierwszem ciepłem i okrągłem.

Gdy westchnęło przeznaczone,
Nie wiedzące, że się ziści,
Jaką przyszłość sobie wyśni
Lekkomyślnie nieskończone.

Czy pamiętasz, jak nas przejął
Luby dreszczyk, domysł tajny,
Przed stworzeniem, przed nadzieją,
Przed rozkazem zyciodajnym?

Przed stworzeniem, przed nadzieją,
Przed marzeniem o istnieniu
Już miłosny, urodzajny,
Zapowiedzią, Melodejją.

Ach, i kiedyś — czy pamiętasz? —
Niestworzonych, niewiadomych,
Połączyło nas w odmętach
W ruch tworzący, w rytm ruchomy.

A już potem gwiazd miljardy,
Światy, dzieje — blahe sprawy...
Patrzę: teatr planetarny,
Co przyjechał do Warszawy.

LEŚNA SPRAWA

W cieniu byłem, w zarosłej ziołowej wilgoci,
Z pod chłodnego kamienia cienki strumyk ciurczał,
A dzień lustrem błyskliwem leśną grzywę złocił,
Prawie do pni wisiała ognisto-wiewiórca.

Liście rośnie w roślinny uplotły się koszyk,
Sennego mnie jak w ziemię wchłonęły zyczliwie.
I mogłem, utajony w zielonej rozkoszy,
Mackami snu się wspinać po słonecznej grzywie.

Zapadałem, wznosiłem się, stwór nedorzeczny,
Aż mnie leśnym kokonem wikliny owiły.
— Słodka niewolo rzeczy wiecznej, ostatecznej!
— Szumie kolebki mojej i mojej mogiły!

ZIELEŃ

Fantazja słowotwórcza

O zieleni można nieskończenie.

Powielając dźwiękiem jej znaczenie,
Można kunsztem udatnych powielei
Tworzyć świata coraz nowszą zielen.
Niedość słowo z widzenia znać. Trzeba
Wiedzieć, jaka wydała je gleba,
Jak załęgło się, rosło, pęczniało,
Nie, jak dźwięczy, ale jak dźwięczniało,
Nie, jak brzmi, ale jakim nabrzmieniem
Dojrzewało, zanim się imieniem
Czyli nazwą, wyrazem, rozpękło.
W dziejach wzrostu słowa — jego piękno.

Więc nie lepo-ż by nam zieleni ziemi
Opowiedzieć słowiesy staremi!
A poczniemy tę powieść — od spodu,
Od pierwizny, od lęgu, od rodu,
Od rdzennego zrodzenia, od jądra,

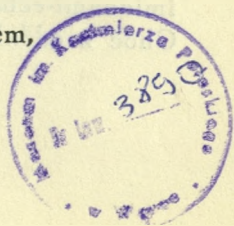
Tam, gdzie wewnątrz, gdzie nutro, gdzie jątra,
Od głębin, gdzie szepnął w zawięzi
Pierwszy dźwięczek zielonej gałęzi.

Nie wydziwiaj i nie bierz mi za złe,
Że w podślowia tego świata wlażłem,
Że się ziaren i źródeł dowiercam,
Że pobożny jestem Słowowierca,
Że po mojej ojczyźnie-polszczyźnie
Z różdżką chodzę, wiedzący gdzie bryźnie
Strumień prawdy żywiący i żyzny
Z mojej pięknej ojczyzny-polszczyzny.
Jedni wiosną słuchają słowików,
Innym — panny majowa przynęta,
Dla mnie — dźwięczą słowicze dziewczęta
W młodych pąkach liściastych słowników:
Wieczna młodość w kwitnącej starzyźnie,
Z wiosny w wiosnę i młodsza i świeższa!
Oto dom mój: cztery ściany wiersza
W mojej pięknej ojczyźnie-polszczyźnie.

Zjedźmy tedy w dzieciństwo tej mowy,
Jako górnik zjeżdża w szyb węglowy
I latarką rozświećta cmentarze
Leśnych dziejów i drzewnych wydarzeń.
Oto leży hercyńskie cesarstwo,
A niepołomickie na niem warstwą,
Na niepołomickiem — białowieska

Starodrzewna monarchja litewska;
Oto moje inowłodzkie lasy,
Gdy w nich jeszcze Centaur miał popasy,
A nad niemi mateczna, pogańska
Atlantyda jodłowo-słowiańska;
Oto miazga rozgromionej kniei:
Herculanum dębowe, Pompei,
Nieprzebyte urocyska ciemne,
Tajne jary i puszcze podziemne,
Jarogniewem niebiosów spalone,
Siekierami błyskawic zwalone,
W tysiącwiecznym ubite moździerz
W węgiel, który jest z ogniem w przymierzu,
W skamieniały grobowiec przepastny,
Tchnący chłodem zamogilnej astmy,
W diamentowy lodowiec — w milczenie.

Zjedźmy w głąb i obudźmy kamienie,
Wyczarujmy zielenie. Bo górnik,
Spraw umarłych wskrzesiciel, powtórnik,
Mogił świadom i głosów przedwiecza,
Wie, że leśna rzecz jest jak człowiecza,
Że w jednakich głębokościach giną,
Ponikami płyną, aż wypłyną
I wyjawiają prawdę człowiekowi
Źródłosłwin blaskiem i śródslwin:
I zaszumi rozruszony węgiel
Lasem, polem, miodoborem, lęgiem,



I wyszumi z siebie słońca snopy,
Mchy piętrowe, brodate potopy,
I płaz wszelki posłucha rozkazu,
I wyślizgną się jaszczury z głazu,
Wiatr się wyrwie i ptaki wyskrzydli,
Jeż z jałowcem się równie naigli,
Aż zwierz grubszy wyruszy: korzenie,
Pnie, konary opuszczą więzienie
I otrząsną się po długim znoju,
Zieleń strzelą — i do słowopoju.
Wtedy źródło wejdzie od korzeni
W trzon pijących gałęzi-jeleni,
I samica przebudzona, Mowa,
Po swych pierwszych płodownikach wdowa,
Na zielone wyjdzie rykowisko!
I zakapie ze słowiska wyskok,
I pociągnie od końców korzeni
Krew-zielica, miód żywiczny ziemi,
I — brzask w lesie, zaiskrzy się wszystko:
Grekowisko, żmudzisko, sanskrzysko,
Po zieleni pójdą echa bliźnie
W mojej pięknej ojczyźnie-polszczyźnie.

Zaziolali nagłos bracia braci,
Wszystko krewni i powinowaci,
I zaczęli się wabić, tokować,
Imionami-echami mianować,
Choć z oddali, to po dziadach zbliśka,

Zieleniacy bujnego słowiska,
Z prajednego szczepu, z pra-praiska.
Do nurtowań, gruntowań się wzięli:
Kto się pierwszy w cel zielisty wziął,
Kto z zielinek i pozielców wiele
Wydrze ślad najdrzewiejszego ZIELA,
Kto z ziółoci stawów i strumieni,
Zielorostek pierwszy wyzieleni,
Kto z zielistków, ziółek i przyziółków
ZIELA zerwie w podsłownym zaułku,
I w zieliszczu, w szumnej zielbie świata,
Antenata znajdzie, Zielonata.

Przylączyły się do nich jaszczurki,
Ze tej samej są zielszczyzny córki,
Ze też zielskie — i że przecież one,
Jak te inne zielki, są zielone!
Lecz zielacy trawowici, iści,
Zaszumieli — i większością liści
Wiec uchwalił, że im praw nie przyzna,
«Precz!» szeleszcząc i «Ziel i zielszczyzna!».
Zapłakały jaszczurki skulone,
Powtarzając: przecież my zielone...
Zapłakały, jak płaczki na tryźnie,
W swojej pięknej ojczyźnie-zielszczyźnie.

Przeszukali milion zieloności,
Nie znaleźli ziela Zielonośni,

Bo on, kłaczek zieleniście mokry,
Trwał nie w trawie i nie mchem się pokrył,
I nie w liściach, nie w lesie, nie w grządce,
Lecz w zielątce — w zielonawej łątce,
Co w tym wierszu od początku fruwa,
Śród słów krąży, łączy je, rozsnuwa,
Siada na nich, nawylot przeziela,
Dźwięki spaja, przeschecpia, rozdziela,
I odleci — i znowu przyfruwa.

Tak nad pracą ziołowieda czuwa
Nakrapiana słońcem łątka trawna...
Nie od dzisiaj. Z pradawien pradawna:
Gdy się jeszcze ziolo nie zielilo,
Ani ziela na ziemi nie było,
Ani żółte ze żółtem przemienne
Wspólnem geltas nie pluskało w Niemnie,
(A i dziś — wyjdź za Wilno, na pole,
Na tem polu nie trawa, lecz żole,
Nie zieleni się: żelti murawa,
A żolynas: złotawa otawa),
Jeszcze w Renie nie bulgnęło gulthem
I nie było ni złotem ni żółtem,
Ani w skarbcach lotewskich zeltsem
(Znaczy: złotem — a słyhać go zielcem!)
Jeszcze krętej wikliny zawijas
Nie rozprężył się Prusom w żalias,
Jeszcze Żmudzin, zanim słowo znalazł,

Rdzy wiewiórczej nie nazywał żalas,
Jeszcze żółki-bylice, przed złakiem,
Słowiańszczyźnie żółcily się zlatem,
Jeszcze ZEL kroplą «i» się nie zrosił,
Jeszcze żółcień o złocistość prosił,
Jeszcze żółna (zielony dzięciołek,
Chloropicus, poźółtek, od-ziółek)
Żłutą żłuną nad Węltawą była,
Jeszcze Chloe się nie zieleniła,
Ani trawy zielonawy porost
Nie podszeptnął Greczynowi: chloros —
— A już łątki-polotki złożone
Ze słowami grywały w zielone,
I przez myśli domysłne, przedśpiwne,
Już zióloród przeświecał niepewnie.

Tak to było i tak się ziściło,
Taką pieśnią się dozieleniło.
I zielono, zielono w ojczyźnie,
W mojej pięknej ojczyźnie-polszczyźnie!

ATAWIZM

Dr. Józefowi Reinholdowi w Gräfenbergu

Jakby dziś jakiś Bzdzius — po cecorskim,
powiedzmy, Żółkiewskim,
Po krwikości hetmańskiej żółtodziób i ptaszek
niebieski —
Słowiczek, po sępich naddziadach potomek
prakrotny, lekkoduch,
Słowiczek, pijane hrabiątko, dziwaczy w salonie
ogrodu.

I że też ten rozkaz posępny, skarłaly przez wieki
do świstu,
Dziś jeszcze mnie z domu wypędza — do niego,
do niego, do niego!
Już wiem: to do skały Kaukazu przybity mój
praszczur ognisty
Odezwał się we mnie, jak wtedy — i w ogród
wyciągnął, nędznego.

oto z gałęzi — na ramię mi skoczył śpiewaczek,
dzióbkiem ku sercu. No, dobrze, niech weźmie,
niech dziobie!
Małenicy my, ptaszku, tej sprawy ognistej wznowiaczel
O, męko! O, szczęście! Znów sę w prometejskiej
wątrobie!

JAR

Jarząc (to znaczy: prażąc jarem,
Pra-jarem ognia), biały żar
Kulistym pławił się pożarem
I miliard blasku w ziemię wparł.

Oko twojego gniewu, Agni,
Piekłem posuchy gryzło glob
I znęcał się nad ziemią strop,
Gorejąc szeptem: «Męcz się! pragnij!»

Schły rzeki na powrozy szare,
I bory w proch i słonie w kość,
I w żużel góry, ziejąc żarem,
Nienasycona żarła złość.

I rzekłbyś, że już równik trzeszczy,
Że pęknie obręcz — i że śmierć.
A ja ci mówię, że to jeszcze
Żywego mleka pełna pierś!

Ze każdy atom w chuci przemian
Borem i słoniem z ziemi prze
I szumi rodzicielka - chemja
I jarem zielem bujnie wre.

CZTERDZIEŚCI WIOSEN

Wezbrało czterdzieści wiosen
Jak czterdzieści zielonych rzek
W jeden prąd, w jeden nurt, w jeden bieg,
I porwało rozrosły mój wiek.

Czterdzieści huczących wiosen,
Spienioną powódź młodości
Śpiewającą majowym głosem,
Wzdęte łożysko miłości
Niesione wiosennym patosem
Z korzeniami drzew,
Z odłamkami strzaskanych wiosel,
Z dartą na strzepy grzywą,
Którą na stracenie
Dał wiosnie jakiś srebrny rozbryzgany lew,
I zielony chaos leśnych trzew,
Rwanych wesółym wichrem krwinięposkromionej
(Zielona, smolista krew!),
I pnie, jak kły wyrwidębów, i wykroty,

Strugi, strumienie, wiry i zawroty —
Wszystko, wszystko
Na grzbiecie fal
Wezbranych czterdziestu wiosen,
Tańcząc jak łódka na morzu, zdęzionem
Ostrogami jednego pragnienia,
Wszystko, wszystko
Jednej ciemnej chwili niosę,
Jednej chwili, wyciśniętej z rdzenia
Moich czterdziestu wezbranych wiosen.

ZADYMKA

Józefowi Wittlinowi

Senność gęsta jak śnieg i krążąca jak śnieg
Zasypuje śnieżnemi płatkami sennemi
Bezprzyczynny mój dzień, bezsensowny mój wiek
I te ślady bezładnych moich kroków po ziemi.

Jeśli chcę, mogę spać; jeśli chcę, mogę wstać,
Siąść przy oknie z gazetą z zeszłego tygodnia,
Albo iść w senność dnia — wtedy inny, nie ja,
Siedząc w oknie, zobaczy dalekiego przechodnia.

Czy to dobrze czy źle: tak usypiać we mgle?
Szeptać wieści pośniężne, podzwonne, spóźnione?
Czy to dobrze czy źle: snuć się cieniem na tle
Kołującej śnieżycy i epoki przyćmionej?

Śnieg pierzyną mi legł, wiek godziną mi zbiegł
W białej drzemce, w puszystym, przyprószonym spacerze.
Bezprzyczynny mój dzień, bezsensowny mój wiek
Skladam wierszom powolnym w ofierze.

O ŚWICIE

Dnieje.

Noc na stopach rośnych się chwieje

I w zawrocie gwiaździstej głowy

Mdleje.

Dnieje.

Mrok się w wodzie jeziornej rozcieńcza,

Świeżość z gaju mglistego młodzieńcza

Wieje.

W dali

Już się kresa czerwona pali,

Porankowi krew do głowy wali.

Kogut pieje.

Szumek

Na listeczkach stulonych zadrzał

I na trawę się gładko ześlizgnął.

Wielki Rumak
Skrzydłami strzelił, zarzał
I śnieżną pianą z pyska bryznął.

HYMN LIBRECISTY

Zawód mój: librecista.
Ja pod melodje istnienia
Podkładam bezsporne teksty: anagramy twojego
Nieustający szopenie [imienia,
Nieprzerwanie wśród zdarzeń i rzeczy słyszany,
Syrjusza z elektronem wiążący,
Hiperelefanta z amebą,
Niezapominajkę i niebo,
Proch mój przyszły — z ogierem na kobyłę skaczącym.
O,
Który upodabniasz byle Wołomin Stuwrotym Tebom!
O,
Który łączysz promieniem
Punkt A z punktem Z,
Między zerem a jednością
Bystrzacy nieskończonością,
O,
Który jesteś wrzask i szept,

O,
Srebrnoluki i Ukrzyżowany,
Struno i ręko grająca,
Racjo,
O,
Unoszony wzniesieniem oczu,
O,
Omodlony
Nieustającą adoracją!

* * *

To było tak: w ciemności nocy
Z gałązki wylazł żywy pączek.
Rozklejał się, ptakami kwiląc;
O świetle — westchnął. To początek.

Godzinę blisko się dokwiecał,
Leniwie drzemiąc w ciepłej wiosnie.
Ciągnęły go z lepkiego gniazdka
Kwieciste ptaki coraz głośniej.

Godzinę blisko się upierał,
Barw upatrując po ogrodzie.
Wyciągał go z zawięzi miękkiej
Skrzydlaty wietrzyk coraz słodziej.

O, patrz, jak biją się o ciebie
Złączone w jeden zgiełk pstrokaty:
Ptaki świegotem coraz tkliwszym,
Coraz żarliwszą wonią kwiaty!

Bezimiennego cię rozdwa
W dwa cudy jedna twórcza siła,
I drży pod tobą niespokojna
Gałązka, która cię powiła.

Więc kto? więc jak? Zawiało chłodem.
Czy ptak? czy kwiat? I gwar zamiera,
I rozpaczliwy strach istnienia
W struchlałym sercu świata wzbiera.

Wtedy zerwałem go z gałęzi,
Jak pierworodny owoc z drzewa:
I bardzo słodką wonią dyszy
I bardzo smutne wiersze śpiewa.

HYMN NARODOWY LASU

W strzępach sztandarów sztorcem
Leśna stolica.
Furkocą liściaste proporce,
Szumi żywica!

Wiatr, górny trębacz i piewca,
Chmury przetrząsa,
Burza się wspina po drzewcach,
Słońce węsząca.

Rzuca się dębom w ramiona
Gromorodzica,
W rdzeniu pod korą więziona
Szumi żywica!

Rodacy moi zieleni,
Ludu soczysty!
Bij sławą w szczyt od korzeni,
Pędzie wieczysty!

Zieloną nad lasem łuną
Płonie stolica.
Perkunas pękl i runął,
Szumi żywica!!

BURZA

Błyskawicowe szpady
Strugami blasku napłask.
Krzyżuje się grom i blask,
Tnąc metaliczne kaskady.

I w to igrzysko szpad,
W deszczu skośnego ciosy
Ogród trzęsący się wpadł
I krzyczy wniebogłosy.

DAR

Powierzam ci różowość.
Słyszysz, jaka jest świeża?
Słowa ci niedość? Więc — owoc:
Brzask śród liści powierzam.

Rododaktylos wplata
Promienne palce w zielen
I pluska słoneczne jabłka
Na błyskotliwą ziemię.

Otrząsają się drzewa
Dreszczem owej pieśczoty
I gra i dzwoni Dziewa
Gradem różowozłotym.

Uwierzyłeś w różowość?
Już różowieje lazur.
No widzisz — teraz się dziwisz,
A ja wiedziałem odrazu.

W NOCY

Obudzony w środku życia,
jak aptekarz w środku nocy,
patrzę, jeszcze snem nalany,
w twoje oczy natarczywe.

Slucham, jeszcze snem szumiący,
prośby prostej a nieziemskiej,
niebezpiecznej jak recepta
pijanego niedouka.

Jakże można bez pukania
prosto w serce i tak głośno,
kiedy tutaj same szept
suchych ziół i somnilingwy.

A w pokoju, skąd wyszedłem
obudzony w środku życia,
czarny krzyż na wapnie ściany,
Tacyt, zegar i nieszczęście.

Niech już dośnie, niech dośpiewam
tristia noctis taciturnae,
co tik-takiem potakują
starej wierze, księgom starym.

Więc nie buntuj trucizn w butlach,
taflą lśniących idealną.
Noc, powiadam; świat zamknięty;
nie budź smutnych do radości.

Zerwij z nocy liść księżycy,
otul serce martwym blaskiem,
a ja swoje będę szeptal,
zapadając w somnilingwę;

w somnilingwę, w somniferę,
w nieruchomą otchłań trwania;
i tak usnę, zapatrzony
w czarny krzyż na białej ścianie.

MGLA

Ciemne, wilgotne węglowodany,
Kto wy jesteście?
Mglisty uczony, oczarowany,
Błądząc po mieście.

Za krepą deszczu krwiste neony
W poranku bledną.
Węglowodany czy elektrony,
Wszystko wam jedno.

Łażę i ziębnę, ziębnę i ziewam,
Pszczelarz atomów.
Kręcąc laseczkę, głucho opiewam
Wszechświaty domów.

Wszystko mi jedno: atom czy eter
Skondensowany.
We mgle majaczą barwnym bukietem
Odowęgljany.

Dźwięki przewracam, nicuję barwy,
Mędrzec zamglony.
Jedno mi wszystko, moje miljardy
I centryljony!

RUCH

Wstali, chodzą. O, jak uroczo!
Oto zdarzenia. Nie wiem poco.

Chodzą, idą. W sprawach idą.
Przyjdą, załatwią i znowu wyjdą.

Wstali, iżby. Chodzą, ażeby.
Oto cele. Oto potrzeby.

Idą prędko po mieście Warszawie.
O, jak uroczo! O, jak zabawnie!

Kroki po liniach. Myśli w głowie.
Nakręcony, ruchomy człowiek!

Rusza się, żeby. Idzie, aby.
Obywatel miasta Warszawy.

On dla wszystkich. Wszyscy dla niego.
O, jak śmiesznie! Bo nie wiem dlaczego.

SPRZĄTANIE

Absurdalne czynności. Electrolux—słoń—
Ssącą trąbą wyje. Żrącem sadłem
Powlekają posadzki toń,
Trąc zajadle, żeby była zwierciadłem.

Złote mole mordują. Pluskwy trują,
Już i tak zatrute ludzką krwią.
Pajęczyny bezbożnie rwą.
Dziką chłostą dywany torturują.

Wszystko poto, żeby po sprzątaniu
Legł, oddany czystym, jasnym snom,
W czystym, jasnym, przelotnem mieszkaniu,
Niespokojnie myśląc: «Gdzie mój dom?».

GALAŻ

Gałazeczka zawsze się chwieje
W sposób nigdy nie opisany
(I wiatr może dlatego wieje,
Że dźwiękami rozkołysany?).

Dzisiaj jedna, osypana różowo,
Prężnym łukiem do szyby przylgnęła:
«Otwórz okno, wpuść kwitnące słowo»,
Lgnęła, gięła, mówić zaczęła.

Otworzyłem—uderzyła światłem,
Światem, kwiatem—i w powietrzu pisze,
I wiatr za nią i wiersz za wiatrem!
Co za wiersz! Pierwszy raz taki słyszę!

Zielonego nie miałem pojęcia,
A tu samo, nieproszone, do pokoju,
I kołysze różową pamięcią
I nakwieca samotność moją.

I stokrotnie obfita i mokra
Rośnie szeptem coraz silniejszym,
Pachnąc głośno, ciągnie od okna
W ramię, w pióro, we wnętrze wierszy.

Za dyskretną idąc dyrygentką
Dźwięczność świata dygoce giętko
I nad wierszem różowością trzęsie
Ponad wszelkie zielone pojęcie.

RWANIE BZU

Narwali bzu, naszarpali,
Nadarli go, natargali,
Nanieśli świeżego, mokrego,
Białego i tego bżowego.

Liści tam—rwetes, olśnienie,
Kwiecia—gąszcz, zatrzęsienie,
Pachnie kropliste po uszy
I ptak się wśród zawieruszył.

Jak rwali zacietrzewieni
W rozgardjaszu zieleni,
To się narwany więzień
Wtrzepotał, wplątał w gałęzie.

Śmiechem się bez zanosi:
A kto cię tutaj prosił?
A on, zielen śpiewając,
Zarośla ćwierkiem zrosił.

Głowę w bzy—na stracenie,
W szalejące więzienie,
W zapach, w perły i dreszczel
Rwijcie, nieście mi jeszcze!

ŚLEPCY

Slepi chodzą zachwyceni,
Uśmiechnięci jak święci,
Z kółeczkiem słońca w pamięci,
W swoje dziecinne niebiosa wpatrzeni.

Przez okulary granatowe
Świat płynie taśmą świetlnych plam.
Bez okularów granatowych
Jest taki sam.

Pochylają nabok głowę,
Kijkiem w bruk: puk puk,
Kijkiem w ścianę: stuk stuk,
Tu latarnia, tu próg,
Idą do restauracji
Grać na skrzypcach przy kolacji,
Uśmiechnięci jak święci,
Za życia wniebowzięci,
Puk puk, stuk stuk,

Przeprowadźcie tylko przez róg,
Tam trzeba skręcić,
Potem trzeba uderzyć
W pustkę czterech bram,
Po czwartej — osiem kroków odmierzyć
Nacisnąć klamkę krzywą,
Buchnie ciepło i piwo:
To właśnie tam.

CHOINKA

Ziemio, ziemiątko,
Nocą nad łóżkiem
Świecisz i krążysz
Różowem jabłuszkiem.
Sny wyogromniały,
Ziemio, zieminko,
Wszechświat stał w pokoju
Świąteczną choinką.
Ziemio, ziemeczko,
Dróżki gwiaździste
Po gałązkach błyskały
Mlekiem wieczystem.
Trzaskały świecezki,
Świerkowe świerszcze,
Anioł zaniemówił
Najpiękniejszym wierszem.

DALEKI TYGRYS

Stąd nie widać oczywiście,
Tu nie słyhać naturalnie,
Jak się tygrys chytry skrada,
Brnąc w gęstwinie tropikalnej.

Kiedy prężny, czarnopręgi
Rozdrapuje leśne sieci
I leniwy od potęgi
Śród zieleni złotem świeci.

Błyski tam i chrzest i pomruk
I chmarami darte liście,
Ale tego stąd nie widać
I nie słyhać oczywiście.

Tutaj cisza, tutaj spokój,
Drzwi na rygiel, w oknach wata,
Cztery kąty i ja piąty,
I papieros, i herbata.

Tutaj błogość, tutaj drzemka,
Jasne wczoraj, szare dzisiaj,
Tylko czasem mi pociemku
Błyśnie podskok krwi tygrysiej:

Że przyczaił się i skoczył
W tej sekundzie, właśnie teraz!
A ty dziwisz się, że oczy
Niespokojne mewam nieraz.

A ty dziwisz się, że czasem
Drgnę, przeszyty prądem nagłym,
A ty pytasz się, dlaczego
Tak zatrzęsłem się i zbladłem.

NAJŚCIE

Przyleciały młode zwierzęta,
Po mieszkaniu zaczęły biegać,
Tańczyć, śpiewać, że leśne święta,
Że ja—majowy kolega.

Obskoczyły zakwitłe stoły,
Uwijają się w trawie podłogi,
A z sufitu natrysk jemioly,
A mchem i wikliną progi.

Więc się nie dziw, że zgodnie ze stylem,
Podjudzając leśne opętanie,
Dzieję czary, zachwycony Sylen,
Dziwy gwizdząc na Watermanie.

PRZEDWIOŚNIE

Pora szara, niewesoła,
Mży prążkami przedmrok siny,
Ty po skwerku dookoła
Krążysz smutny od godziny.

Chodzisz cieniem i niesobą,
Urzeczony przykrą ciszą.
O, nadziejo! o, żalobo!
Na gałęziach wróble wiszą.

Kwilą szybko, gorączkowo,
Recytują jak najęte
Swoje ptasie to i owo,
Jakieś wieści niepojęte.

O czym? O tem: żeś tak ciekaw
Baśni wiecznej, wróblej waśni,
Ze tak krążysz, że tak czekasz...
Na co? Na to. Wiesz już? Właśnie.

STRYZENIE

Ja nie pojedę, bo przed wyjazdem
Trzeba się ostrzyć,
A któż to widział, by przed zwierciadłem
Zasiadł nieboszczyk?

A któż to widział, żeby nieżywe
Oczy otworzyć
I patrzeć w zniwo młodości siwej
Przy brzuku nożyc?

Na szumnem polu kosy i kłosy
To co innego.
A tu się sypią popiołem włosy
Przerzonego.

GODZINY

Nie śpię o pierwszej, o drugiej, nie śpię o trzeciej,
o czwartej.

Noc ma oczy otwarte, ja mam oczy otwarte,
Wpatrujemy się w siebie upartemi oczyma,
Kto kogo wzrokiem powali,
Kto
Kogo
Przetrzył.

O drugiej wziąłem alonal, o trzeciej wziąłem weronal,
Szarą chemją oblędu szumię, retorta szalona,
Modliłem się o trzeciej, przekląłem cię o czwartej,
Przy moim heinowskim tapczanie rozpacz sprawuje
wartę.

Piąta galopem serca z trudem szóstej dopadła,
Mżąc za oknem ciemność pobladła w chwylne
widziadła.

O siódmej—śmierć bełkocąc, na pamięć nauczoną—
Montował rywal nocy huśtawkę z szelek skreconą.

wycofać

dykta

ASSYRJA

Byłem dziś przez kwadrans w pewnem biurze,
Słuchałem — wspaniale nieprzytomny — assyryjskich
zdań.
Maszynopismem klinowem stukała dyrektorska krtan.
A ja nic. Tylko się chmurzę.
Chmurny obrastam w burzę.

Dyrektor miarowo gardłował,
Kanciaste kamyki sypał:
«Opcją, akcją, gwarancją, zyrem»...
Sypał kopiec z tych sylab: «pryn-cy-pał-ka-pi-tał»...
Krzusilem się tym zwirem.

Słuchając,
Burzą kotłując,
Dymem zasnułem Assyrię,
Odurzającym śniwem,
I na gruzach twoich, jak prorok, wołałem:
Biada tobie, Niniwe!

Gdy wychodziłem, było już po burzy.
Jeszcze gromy warczały: opcją, akcją, żyrem...
Bank ćwierkał dźwięcznie remingtonów świrem,
I na klawiaturach liter
Grały skaczące zwinne maszynistki
Sonaty cudzych majątków, rwanemi rytmami bite.

O, assyryjskie misterjum! Po kratkach głównej księgi
Spadała suma rosnąca. Aż uderzyła bilansem
W czerwoną linię u dołu. I oto Wysokie Finanse
Wlazły na stronę następną przeniesieniem potęgi.

ZDARZENIE NA PRÓBIE

Na próbie rewji w pustym teatrze
Wiał z mrocznej sceny piwniczny chłód,
Komik, markując, trzy-po-trzy plótl
Rozśmieszające nikczemne słowa.
Nie było światel, jaskrawych złud,
Nie było masek, pozorów umownych,
Zmyśleń czarownych wieczornej elektry,
Nie było magicznego uwodnego spektru,
Gorejącego w orkiestrze metaliczną łuną.
Nic.

Surowa była i grobowa
Głęboka scena kabaretowej rewji.
Komik belkotal nagie, pieniądze słowa
Na tle wisielczej sznurowni
(Straszny jest teatr, odarty z uludy)
I pięćset krzesel, audytorjum nudy,
Zająły smutne, bezforemne widma,
Chrzakające coraz wymowniej,
Ze ta sala, jak na śmierć, jest za widna,
A jak na życie — zbyt ciemna.

Nie są to żadne alegorje ani metafory.

Dosłownie:

Zasiadły stłamszone pokrowce-upiory,

No i — fochy, pretensje, humory...

I zaczęły sączyć mżące, słotne światło,

Jak na neurastenję chore reflektory.

Albo inaczej:

Wszystkie zaczęły ćmić

Wilgotne papierosy z jesiennych miejskich liści.

Albo tak:

Gazowe lampy owinięto krepą,

A dzwonom z mokrej waty

Kazano requiem bić.

Summa summarum:

Jakgdyby w lesie,

na Litwie,

listopadowym w deszcz wieczorem,

poomacku, naoślep,

chory.

Komik zeszedł ze sceny bez braw,

Zziębnięty. Tarł ręce.

— «Ależ tu jak w psiarni, dyrektorze»...

Nie widział upiornej gapy ani śmiertelnych spraw.

— «Tak, tak»... — odrzekłem. I nie odezwałem się
już więcej.

Napływało szare, pochłaniające morze.

PUSTE MIESZKANIE

Nigdy nie zostawiaj mieszkania samego. Nie dlatego, że mogą okraść. Z całkiem innego, mało znanego powodu.

Nic nie opisze stężalej i sztywnej żaloby mieszkania, kiedy nas niema w domu.

Zegar, dyrygent pustki, waha się sześćdziesiąt razy na minutę, czy rzucić się ze ściany w otchłań znieruchomiałego czasu, czy wytrwać.

Meble przemilczają najzjadliwsze plotki o nas. Czasem westchną, trzasną, i znowu milczenie.

Sądzę, że w czasie naszej nieobecności niebylekto korzysta z mieszkania jako z garsonjery. Wierz mi, że się tam odbywają najupiorniejsze orgje nieodbitych w lustrze wydarzeń, które, żyjąc i będąc w domu, nazywamy: Nie, Nijakie, Żadne, Nie było.

Czechły i pokrowce latają jak na seansie. W najlepszym razie są na odlocie. Szkła w kredensie przelewają się po brzegi tryumfującą nicością. Książki, jak zawsze, sztorcem; ważne, ściśle feudalne.

Ale i one, t. j. linijki żywych niegdyś czcionek, zaczynają chorowicie fermentować szarym liszajem śmiertelnego szeptu.

Nie pytaj o zawartość szuflad i szaf. Słyszysz, jak te dwa słowa zaszumiały?

Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: gorsi złodzieje i niszczyiele plądrują mienie twoje i godziny, niż ci, których się obawiasz, zostawiając puste mieszkanie.

HISTORJA

Melodja pędziła expresse,
Niecierpliwa, marsowa, surowa.
Na maleńkich stacyjkach czekały
Prowincjonalne słowa.

Wrzała w oknie, skandując zaciekle
Kanonadą wybuchów po torze,
Gdy na słotnych peronach rozmokłe, rozwlekle,
Stały grupki bezforemnych stworzeń.

Rozdziawiały okrągłe głoski,
Nadymały literek brzuszki
Delegacje, sodalicje, związki,
Słówka-małpki i słówka-papuzki.

I dopiero na którejś tam stacji
Gniewnym wichrem skoczyła na peron
I przemocą swej tyrańskiej racji
Rytm wraziła rozchlapany literom.

I gdy rankiem w orkiestrach i sławie
Pociąg wtoczył się w wiosnę jak ziemia,
Ministrowie na dworcu w Warszawie
Przywitali — Narodowy Poemat.

*

✱

*

Surgunt indocti et rapiunt coelum—
et nos cum scientia nostra mergimur
in infernum.

Św. Augustyn

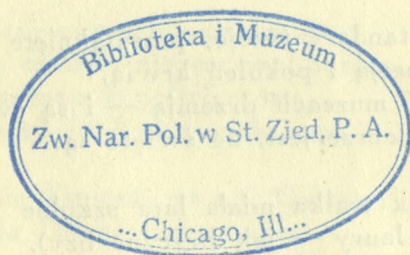
Znów to szuranie, belkotu chór,
Znów na ulice wylazło z nór
Dwieście tysięcy, trzysta tysięcy
Poprzebieranych świątecznych zmór.

Zieje pustynią zeszkląły wzrok,
W otchłań zapada każdy ich krok,
W ultra-kolorach, w meta-ubiorach
Łażą rozwlekle przez cały rok.

To oni — sprawcy brzuchatych bab,
Sznycła, gazety, tryumfów, klap,
Skrótów, paszportów, forsy i sportów,
Słowa «gustowny» i słowa «schab».

To oni — naród, społeczność, wiek,
Styl i epoka i dziejów bieg,
Ten sam odwieczny wróg niebezpieczny,
Podsłuch powszechny, masowy szpieg.

Rozstąp się, bruku upiornych miast!
Rozstąp się, niebo, zbrojownio łask!
Biesa tępego, biesa głupiego
Oświeć i przeraź gradem swych gwiazd!



Z WIERSZY O PAŃSTWIE

1

Dogasa legendarna luna
Pozarów, kurzu krwi i walk,
Polsko, wskrzeszona od pioruna
Wezbranych chmur i wieszczych warg!

Sztandary twoje, przesiąknięte
Poezją i pokoleń krwią,
W muzeach drzemią — i są święte;
I dobrze jest, że święte są.

Jak walka miała lata szkolne
(I laury — jak liryczne bzy),
Tak muszą mieć narody wolne
Zadumy swoje, klechdy, mgły.

I trzeba, żeby wargi drżały,
Czytając smutny dziejów skrypt,
I tylko bęcwał przemądrzały
Nie drgnie w grobowym mroku krypt.

Lecz nam w misterjum przepowiedni
 Rosła o państwie każda wieść,
 Więc dziś wolności dzień powszedni
 Trudno zrozumieć nam i znieść.

Od chorągwanianych amarantów
 Żądamy cudów, niczem w Lourdes,
 I uskrzydłonych policjantów
 Wzywamy wśród ulicznych burd.

A on nie Konrad, on nie Gustaw,
 Ni Króla Ducha dalszy ciąg.
 Jemu wystarczy «Dziennik Ustaw»,
 Najmistyczniejsza z polskich ksiąg.

I żadnej w tem nie widzę racji,
 By rozanielił się nasz wiek:
 Żeby Anhellim był Zawadzki,
 A Wernyhorą wieszczym — Beck.

Wielki to mozół i tortura
Być państwem, wymodlonem przez
Poetów, co maczali pióra
W gorzkim inkauscie krwi i łez.

Być państwem, które ma w obiegu,
Niczem walutę, echa słów
Z tamtego, dalekiego brzegu
Proroczych mgieł i mglistych snów.

Gdy «późny wnuk», co w duchy wierzy,
Mistyczny rozwiązuje szyfr,
Nieubłagani buchalterzy
Przychodzą z kolumnami cyfr.

I jeśli bilans się nie zgadza,
Gdy trzeba znów podatków, cel,
Do sumień apeluje władza
Słownictwem romantycznych dzieł.

Temporis acti laudatorzy!
 Lub wy, dla których dziś — to cud!
 Nie było «lepiej», nie jest «gorzej»,
 Draństw nie przybyło ani cnót.

Nie było «gorzej», nie jest «lepiej»,
 Zawsze potrzebny glebie gnój.
 Obok widzących byli ślepi,
 A przy szlachetnych — kilka szuj.

I już ludzkości pierwocina
 Wyodrębniła każdy dział:
 Już Abel brata miał Kaina,
 A Kain brata Abla miał.

Przyczem ów Abel był schöngestem,
 Niewartym, by go nosił glob,
 A Kain zerwał z tem mazgajstwem
 I dowiódł, że jest... «byczy chłop».

Karności ucz, urabiaj, mustruj,
 Zarządzaj, sądz i skazuj! Wiem:
 Tak każe racja stanu, ustrój;
 Lepszy czy gorszy — mniejsza z tem.

W każdym jest śmieszność, grzech i zgroza
 I groteskowej mocy gest.
 Szubienicznego splot powroza
 Gordyjskim jego węzłem jest.

A sprawiedliwy niech nie wini
 Mocy o przemoc. Tak ma być.
 Sprawiedliwemu — na pustyni
 Do gwiazd o sprawiedliwość wyć!

W państwowy Samotników sztandar
 Noc go otuli. Będzie sam.
 Chociaż... kto wie?... czasami zandarm
 Służbowo zajrzy nawet tam.

Rozumiem wszystko: rząd, policję,
 Podatki, wojsko, budżet, sąd,
 Więzienia, karne ekspedycje
 I LOPP i gospodarczy front.

Rozumiem rygor, dryl wojskowy
 I P. K. U. i P. K. O.
 I sejm i rozmach mocarstwowy
 I innych konieczności sto.

Ani się dziś nie bałamucę
 Humanitarnem «och» i «ach»!
 Jak rząd — to rząd. W rządzenia sztuce
 Chirurgiem trzeba być i — ciach!

Jedno pytanie tylko — szorstkie,
 Lecz zasadnicze: czemu w tej
 Potężnej firmie, w przedsiębiorstwie
 Ma Duch, Ideal wodzić rej?

Gdzie on? I w co się ucieleśni?
 Już państwo jest i dzielny rząd;
 Urasta siła; głuchną pieśni
 Cmentarnych, żalobniczych świąt.

Tężeje rzeźka młodzież w sporcie,
 I B. G. K. ma groźny gmach,
 Ruch coraz większy w gdyńskim porcie
 I większa moc w marsowych brwiach.

Niech jeszcze zgłuchnie głodnych skowyt,
 Niech państwo wszystkim pracę da,
 A duch się wcieli. W co? W dobrobyt?
 W rekrutów? w Gdynię? w B. G. K.?

W potęgę! A potęga nasza
 To co? To — Duch!... I właśnie ta
 Kołowacizna mnie przestrasza:
 Mieszanie duchów z B. G. K.

Nastanie wreszcie ten dobrobyt,
 Siedem tysięcy tłustych lat,
 Po uszy będzie pracy, robót,
 Eksportem zawalimy świat.

Pobudujemy domy, szkoły,
 Szpitale i drapacze chmur,
 Stadjony, banki i kościoły,
 Teatry i tysiące biur.

Nastanie szczęście: radość, sytość
 I Luna-Park — powszechny raj,
 Potęga, nadmiar i obfitość
 I wszystko hyper — super — naj...

I gdy w gorączce i pośpiechu
 Zaczniemy sięgać szczytów, gwiazd,
 Będą pokładać się ze śmiechu
 Biesy w podziemiach grzesznych miast.

Panie Ministrze Spraw Wewnętrznych!
Dla słowa żywiąc kult i cześć,
Pozwalam sobie, w strofach dźwięcznych,
Interpelację pewną wnieść.

Otóż: czy Panu Ministrowi
Wiadomo, że od wielu lat
Ferajna durniów i szumowin
Falszywe słowa puszcza w świat?

Czy Pan Minister nie uważa,
Że zbrodnia ta, powszechna już,
Na wielkie straty skarb naraża,
Skarb (mówiąc szeptem) ludzkich dusz?

I co zamierza Pan Minister
Uczynić, żeby szajka kpów
Przestała raz uprawiać system
Jawnego podrabiania słów?

To jest anarchja! To defetyzm!
 Podwaza narodowy byt!
 Hotentot! cygan! metek! metys!
 Pięknoduch! pacyfista! Żydl

Jehanna wyskoczyła z kina,
 Pieńkower sika wodą z lba,
 Jan Narodmowy z Rembielina
 Z drużyną korporantów gna.

Pieni się Szczapa, Adolf skrzeczy,
 Wieniawa grzmi, jak armat sto:
 «Au fond nie widzisz jednej rzeczy!
 Bardzo przepraszam! A to co?»

I konkurując znów z Rypinem,
 Warszawa w taki wpadła szal,
 Jakgdybym znowu karabinem
 O bruk uliczny wyrznąć chciał.

«Au fond»... To twoje słówko częste
 Bardzo nam przyda się. «Au fond»
 Znaczenie właśnie ma i sens ten,
 Który mi głupcy spaczyć chcą.

Au fond — to tam, gdzie rdzeń i sedno;
 Gdzie sprawy grunt i spód; to coś,
 Co samo przez się jest i jedno;
 Idea, przechodząca wskroś.

Au fond — bez miejsca jest i czasu,
 A ma pierwotną siłę swą:
 Sumienie rzeczy, co z nakazu
 Dna duszy płynie. Więc — au fond

Jest w rządach, władzach i urzędach
 I w tych, co światem rządzić chcą,
 Dogłębne zło, wyrosłe w błędach —
 I ja to widzę: tam, au fond.

Przez dzieje życia, jak melodia,
 Jak eter, jak błękitny prąd,
 Drga poetycka teologia,
 Istnienia sprawująca rząd.

Ona: podziemna i nadniebna,
 Ona: będąca w i śród,
 Radosna, niecierpliwa, gniewna,
 Rządczyni nietutejszych cnót.

Nieustający piorun bytu,
 Fontanny niewidzialnej pył
 (Rorate coeli!), dreszcz błękitu
 W drutach i żyłach ziemskich sił.

I przeto, czcząc daleki ogień,
 Ojczyzny naszej lotny ład,
 My — z wysokości Teologii
 Piorunujemy ziemski rząd.

.

* * *

Z okruszynami młodości — co robić? Rozrzucić
ptakom?

Można i ptakom rozrzucić, można i w słowa po-
wkładać.

Odfruną, uradowane, żeby po nowe powrócić,
Wrócą — i słowa i ptaki — nadzieją skrzydlate
jednak.

A co im powiesz? Że niema! Że niema, powiesz
biedakom.

Uwierzą? Nie, nie uwierzą. Do późnej, pochmurnej
nocy

Będą za oknem czekać, skrzydłami w szyby uderzą,
i padną, martwe i wierne. Ptaki i słowa, jednak.

EROTYK

Już się o grzechy noce proszą,
Już z wiosny znów jak z bólu krzyczę,
Nieubłaganą mnie rozkoszą
Zakuj w ramiona ratownicze!

A jeśli zacznę się nanowo
Wrywać zbuntowanem ciałem,
Powiedz mi wreszcie pierwsze słowo,
Którego nigdy nie słyszałem.

Bo znów pogański samum wieje
W pędach, zawrotach, burzach, blaskach!
Pamiętaj: kiedy znów zdziczeję,
Odrzyj mnie z wichrów i ugłaskaj!

Z KRONIKI WYPADKÓW

Nieutulona czułość,
Ożałobione wesele!
Serce z miłości otruło się,
Jak panna-młoda w kościele.

Wypila, krzyknęła i mdleje,
Wynoszą z kościoła pobladłą...
I ono — czego się dziwić? —
Wypilo, krzyknęło, upadło.

PODOBIENSTWA

Miła moja, poradź mi, poradź,
Jak tę martwą niemiłość znieść?
Jak się z pustem sercem uporać,
Do którego się wdziera śmierć?

Tak nadzieją dysząc nieskromną,
Ufnie, pewnie, za krokiem krok,
Za kochanką, za wiarołomną
Przyjaciela podąża wzrok.

Tak nikczemni czekają skrycie,
Węsząc lubej korzyści plon,
Żeby umarł stary właściciel
I zostawił wygodny dom.

ERRATUM

Do mego życia wkradł się błąd ponury:
Stąd ciemne miejsca i tekstu zawilość.
Proszę poprawić:
W 40 roku od góry,
A w którymś tam od ziemskiego dołu,
Zamiast: rozpacz
Powinno być: miłość.

WESTCHNIENIE

O, sprawo smutna i daleka!
Jakkolwiek jest — czy duch czy ciało —
Jedna mnie tylko wieczność czeka...
Jak mało!

EXEGI MONUMENTUM...

Smutek mnie obrócił kamieniem
I trwam, wspaniale żałobny.
Kto ja jestem? Kamień nadgrobnym
Z wyrytem Twojem imieniem.

OFIAROWUJĄC SERCE

Posyłam ci bezdomne moje serce.
Co chcesz z niem zrobić:
Na swoje zamień to bezdomne serce
Lub zatrać, zgub.
Wdzięczne ci będzie to bezdomne serce
Nawet za grób.

MILCZAĆ

Zakochanemu tak szczęśliwie,
Tak nieszczęśliwie, jak ja umiem,
Najlepiej spędzić noc w zadumie.
Nad czym? Nad niczem. Ale tkliwie.
Między zachodem a jutrzeńką
Wdać się w milczenie, jak w rozmowę,
I powtarzać w myśli — norwidowe:
«Nic od ciebie nie chcę, śliczna panienko»...

JAK POWSTAŁ TEN WIERSZ

Przeczytałem w gazecie: «Zjawiska niebieskie»:
Że zbląkana kometa zbliża się do ziemi;
A mnie z tych słów odrazu wyblysły na ziemi
Niewiadome i inne zjawiska niebieskie.

Jak labędź Horacego, zerwałem się z ziemi!
Nie-ciałem w niecielesne leciałem: w niebieskie!
Jakby w śnie wymyślone nazwiska niebieskie
Dalem tej polotności i niebu i ziemi.

Pytałaś mnie, jak wiersze powstają. Nie z ziemi,
Nie z nieba — sam już nie wiem! O, Bliska! Nie-
bieskie!
Sam nie wiem. Nagle z dźwięków «zjawiska nie-
bieskie»
O jeden wiersz i miłość więcej dziś na ziemi.

SPACER ANTYCZNY

Gdzie najsmutniej, dziewczyno, tam nasze spotkania,
Tam potrzebna obecność twoja miłosierna:
Na spacerze antycznym, na ścieżce rozstania,
Gdzie szumi mego serca bezsłowność pośmiertna.

Gdzie nagle cień mój własny — upadnie kwadratem:
Ciężką płytą grobową. I co krok te cienie.
Wierny księżyc nad starym cmentarnym teatrem
I ciemny wiatr w orkiestrze i jesień na scenie.

Wchodzę, aktor niemodny w płaszczu hamletowym,
Wiatr przewiał uwerturę, jesień mi się kłania.
I zaczynam monolog trzynastozgłoskowy:
— «Gdzie najsmutniej, o luba, tam nasze spotkania».

KWIAT

Kwiat za oknem gwałtownie kwitł
W obawie, że się spóźni.
Wietrzyk, deszczyk, serce i mit
Pracowały jak w kuźni.

Noc, przychylna dla takich spraw,
Cieplala oranżerję,
I ty (co za szczęśliwy traf!)
Wzięłaś mnie raz na serjo.

Współkwitnących gorliwych ust
Niewyczerpany zasób
Szeptem wzmagał namiętny wzrost
I pomnażał wczwórnasób.

Aż zdyszany i cały w łzach
Ze wzruszenia i rosy
Eros — Helios — Apollo — Brzask
Lilję wychylił się z nocy.

ZAWIEJA

...Wtedy listopadowe wieczory warszawskie
więcej wiosną...

Z wiersza

Miłość mnie szuka po mieście,
Miłość w zielonym berecie.
Przepadłem jak kamień w wodę.
Gdzie jestem? Wy może wiecie?

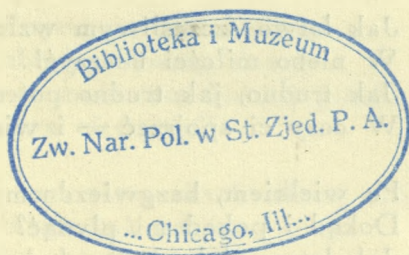
Z pod zielonego beretu
Strzępek wichury w złocie:
Ptak nieprzytomny z tęsknoty,
Włosy w porywczym odlocie.

Biega w rumieńcach, zdyszana,
Pośpiechem drząc gorączkowym,
Miłość, zawieja wieczorna,
Miłość w trenczkocie deszczowym.

Wiatr jej nadażyć nie może
I gończe listy rozwiesza,
Pod naprężonym jej swetrem
Stuka żarliwa depesza.

W barach, kawiarniach, teatrach
Listy i serca zostawia,
Zamieć po mieście kołuje,
Róże z pod bruku wykrwawia.

Zrywam je, moja nieznana,
Cię pochylony bólem:
Czerwone blaski z kałuży
Oczyrna podnoszę czule.



CIEMNE NIEBO

Jak łatwo obezdomnieć
I zostać bez gwiazd nad głową!
Jak trudno, jak trudno zapomnieć
Rodzimą głąb djamentową!

Jak łatwo szczęśliwym wzlotem
W niebo miłości uderzyć!
Jak trudno, jak trudno potem
W oczy ci spojrzeć — i wierzyć.

Po wielkiem, bezgwiezdnem niebie
Dokąd i pokąd mi płynąć?
Jak łatwo, jak słodko było
Za ciebie zginąć...

Z HORACEGO

Ad Maecenatem. Carm. II, 17

Nieladajakim wzwyż odjazdem,
Dwukształtny, wzniosę się nad miastem,
Ptak i poeta, frunę w gwiazdy,
Ziemskiej próżen zazdrości.

Który mi zyczysz, jak nikomu,
Choć z ubogiego jestem domu!
Nie sięgnie mnie tam śmierci pomór
Ni styksowe ciemności!

Już nogi w zmarszczkach nowej skóry
I jużem biały ptak odgóry,
Już ramię, polotnemi pióry
Obrastając, skrzydleje.

Szybszy niż Ikar, z śpiewem głośnym,
Widzę huczący Bosfor groźny,
Gaetulii widzę piach nanośny
Oraz Hyperboreje.

Pozna mnie Kolch, i ziemia mroźna
Gelonów, i Iberja można,
I Dak, podszyty tchórzem, pozna
Mnie, syna wyzwolenca.

Więc gdy mnie w ziemi będziesz grzebał,
Wiedz: mnie rozpaczy nie potrzeba,
Ni szpetnych lez, ni skarg do nieba,
Ni żalobnego wieńca.

ZMARŁA METAFORA

Auto błyskiem prześlizgnęło się
po dalekiej szosie asfaltowej.

Malejąc, nikło, znikło—i znów tylko horyzont przez
szkło.

Czyż nie taksamo, na przykład, prąd myśli błyska-
wicowy

Prze — — —

...zresztą, zamykam oczy.

Wszystko mi jedno CO.

UCIECZKA

Kiedy sobie zrozpaczona wiosna
W szklanej wannie przecięła arterje,
Jak szalony naległem na wiosła
I uciekłem z Poezji na ferje.

Oplątane w rozgwiadzy, korale,
Pokojówki, chichocąc w sieni,
Dom rozchwiały śpiewem syrenim,
Płasem plotek i sztormem-skandalem.

Tak, to skandal, ćwierkliwe syrenki,
Żeby nago wyskoczyć z łóżnicy
I w kwitnącem akwarjum łazienki
Brzytwą ciach po majowej tętnicy!

Tak! zwabiłem, upilem, uwiodłem!
Do ust wilem się śpiewem-powojem!
Tak! a potem uciekłem! to podłe!
Wszystko prawda! Ale ja wiem swoje:

Że nie wolno, nie wolno zacisnąć
W taką rozkosz rozkwitu dokolną!
Tak zaliścić! zapachnieć! zabłysnąć!
Nawet brzozom po burzy — nie wolno!

Uprzedzałem dziewczynę zawziętą,
Widząc w oczach jej zielen błyskawic:
«Jestem tylko człowiekiem! Pamiętaj!
Mimo wszystko—człowiekiem!»... I na nic.

Teraz łowcy sensacji zziajani,
Nocnych świstków wydawcy — słowiki —
Oblegają telefon arjami,
I bzem zieją radjowe głośniki.

A urzędnik — telegrafuje,
Jakby Chopin uderzał w klawisze:
doktor śpiew buchając tamuje
amant uciekł a dom się kołysze.

TREŚĆ

Widząc, jak często zapominasz
o gorejącej treści zdarzeń
(a treść, w nawiasie zauważę,
to rdzeń, to pierwień, to przyczyna);

widząc, jak często oceany
traktujesz jak zbiorniki wody,
nalanej przez kuchenne krany
dla twojej wygody czy przygody;

jak degradujesz wicher serca
do rangi cugu, więc — kaprała,
gdy on — Attyla, wódz, morderca,
na step tęsknoty mej się zwala;

wreszcie... Lecz hord i huraganów
na dłoni przecież nie pokażę!
Więc przy tym liściu się zastanów
nad gorejącą treścią zdarzeń.

Bo on, poczęty w grobach ziemi
przyczyną czułą i milczącą,
w bezdziejach już się prazielił
zdarzenia treścią gorejącą!

Bo on, konając na mej dłoni,
do dzisiaj kipi w swej kolebce:
wrzątkiem idei szmaragdowej,
co, niegaszona, w liściach szepce;

o łonie szepce, gdzie ów płomień
zatlił się pierwszą o nim wieścią...
O! i ty zaszum liśćmi wspomnień
nad gorejącą zdarzeń treścią!

Słowem: gdy krzyk mój nad twym grzechem
uśmiechem zbywasz, wzgardą drwiącą:
nie mnie znieważasz tym uśmiechem,
lecz treść zdarzenia gorejącą,
lecz treść Stworzenia gorejącą!

DO BOGA

Boże! Choć oni wszystko ustalą i ujmą,
Scalą i w stal zakują w kuźniach swej potęgi,
Ty dalej będziesz falą przetaczał się bujną
W umiłowanem sercu płochego włóczęgi.

Tam jest ojczyzna twoja i kraj lat dziecinnych,
Pierwszy uśmiech stworzenia i sen kołyszący,
Tam, Ojcie Radosnego, w strunach złotopłynnych
Kulką pluska się w trzciny upłątane słońce.

Gdy oni, samozwańcy twojego imienia,
W megafony wrykują zwycięskie ustawy,
Ty — aromat urody, płomień niebieskawy —
Władasz, nieprzejednany, potopem istnienia.

I kiedy grzmocą burzą metalowych kopyt
W trakt, ubity ciężarem bluźnierstwa i pychy,

Przyświadczasz chrzęstem owsów i wietrzykiem
cichym

Temu co śpi nurzając w horyzoncie stopy.

Temu co ptaki budzi wołaniem przezsennem,
Wiosny ziemskie przynagła miłosną namową,
I zmyka, tchórz uroczy, w zagajniki ciemne
Z krążkiem jasnej twej łaski nad szaloną głową.

Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

Tęże co się znajduje w powyższej
Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

Tęże co się znajduje w powyższej
Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

Tęże co się znajduje w powyższej
Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

Tęże co się znajduje w powyższej
Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

Tęże co się znajduje w powyższej
Wszystkie obywateli państwa
Tęże co się znajduje w powyższej

SPIS RZECZY

	<i>Strona</i>
<i>Oczekiwanie</i>	3
<i>Teogonja</i>	5
<i>Źródło</i>	7
<i>Przyglądając się gwiazdom</i>	8
<i>Leśna sprawa</i>	10
<i>Zieleń</i>	11
<i>Atawizm</i>	18
<i>Jar</i>	20
<i>Czterdzieści wiosen</i>	22
<i>Zadymka</i>	24
<i>O świetle</i>	25
<i>Hymn librecisty</i>	27
<i>* * * To było tak:</i>	29
<i>Hymn narodowy lasu</i>	31
<i>Burza</i>	33
<i>Dar</i>	34
<i>W nocy</i>	35
<i>Mgła</i>	37

<i>Ruch</i>	39
<i>Sprzątanie</i>	40
<i>Gałąź</i>	41
<i>Rwanie bzu</i>	43
<i>Słepcy</i>	45
<i>Choinka</i>	47
<i>Daleki tygrys</i>	48
<i>Najście</i>	50
<i>Przedwiośnie</i>	51
<i>Strzyżenie</i>	52
<i>Godziny</i>	55
<i>Assyrja</i>	54
<i>Zdarzenie na próbie</i>	56
<i>Puste mieszkanie</i>	58
<i>Historja</i>	60
* * * <i>Znów to szuranie...</i>	62
<i>Z wierszy o państwie</i>	64
* * * <i>Z okruszynami młodości</i>	76
<i>Erotyk</i>	77
<i>Z kroniki wypadków</i>	78
<i>Podobieństwa</i>	79
<i>Erratum</i>	80
<i>Westchnienie</i>	81
<i>Exegi monumentum</i>	82
<i>Ofiarowując serce</i>	83
<i>Milcząc</i>	84
<i>Jak powstał ten wiersz</i>	85
<i>Spacer antyczny</i>	86

<i>Kwiat</i>	87
<i>Zawieja</i>	88
<i>Ciemne niebo</i>	90
<i>Z Horacego</i>	91
<i>Zmarła metafora</i>	93
<i>Ucieczka</i>	94
<i>Treść</i>	96
<i>Do Boga</i>	98

CZYTAŁEM NA BOGA
 DO ARKATY FANCZY
 SŁOŃKA JESYŃ
 WIEDEZY TOM IV
 SŁOWA WE KRWI
 BIECZ CZARNOBŁA
 BIELA CYGANER
 JARMARK SYMOW
 KAL W OPERZE W

JULJANA TUWIMA
UTWORY POETYCKIE

CZYHANIE NA BOGA
SOKRATES TAŃCZĄCY
SIÓDMA JESIEŃ
WIERSZY TOM IV
SŁOWA WE KRWI
RZECZ CZARNOLESKA
BIBLJA CYGAŃSKA
JARMARK RYMÓW
BAL W OPERZE (w druku)

POD ZNAKIEM POETÓW

Seria nowa

	złotych
BALIŃSKI STAN. — Wieczór na Wschodzie	2.—
IŁŁAKOWICZÓWNA KAZ. — Zwierciadło nocy	3.50
IWASZKIEWICZ JAROSŁAW — Lato 1932	2.—
JASNORZEWSKA (Pawlikowska) M. Balet powojów	2.—
„ „ Krystalizacje (w druku)	
„ „ Śpiąca załoga	2.—
KASPROWICZ JAN — Księga ubogich. Wydanie IV	3.—
LECHOŃ JAN — Karmazynowy poemat. Wydanie III	2.—
„ „ — Srebrne i czarne. „ II	2.—
LEŚMIAN BOLESŁAW — Napój cienisty	6.—
LIEBERT JERZY — Kołysanka jodłowa	3.—
OPPMAN ARTUR (Or-Ot) Pieśń o Rynku i Zaułkach	2.—
STAFF LEOPOLD — Barwa miodu	3.—
„ „ — Ucho igielne. Wydanie IV	4.—
„ „ — Wysokie drzewa	4.—
SZCZĘSNY AL. — Pieśń o drodze	2.25
TUWIM JULJAN — Biblja cygańska. Wydanie II	3.—
„ „ — Czyhanie na Boga. „ IV	4.50
„ „ — Rzecz czarnoleska. „ II	4.—
„ „ — Siódma jesień. „ III	3.50
„ „ — Sokrates tańczący. „ IV	4.—
„ „ — Treść gorejąca	3.—
WIERZYŃSKI KAZIMIERZ — Gorzki urodzaj	3.—
„ „ Laur Olimpijski. Wyd. V	2.—
„ „ Pieśni fanatyczne	3.—
„ „ Rozmowa z puszczą	3.—
„ „ Wiosna i wino. Wyd. IV	3.—
WITTLIN JÓZEF — Hymny. Wydanie III	3.—
WOŁOSZYNOWSKI JULJAN — Potęga snu	3.50

W ozdobnych płóciennych oprawach każdy tom cyklu „Pod znakiem Poetów“ o dwa złote drożej

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

WOŁOSZYŃSKI JULIAN — Potęga miłości 2.50

WITTEN JOSEF — Egipt Wymiar III 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

WISNIA I LUCIA WYDZIA IV 3.—

Ø. (396)

SREBRNA WAGA

TEGOŻ AUTORA:

KRZYK Z MIASTA, poezje —	1929
ROZMOWY O PACYFIŹMIE, wywiady—	1930
ELEGJE CAŁOPALNE, poezje —	1931
GARŚĆ POPIOŁU, poemat —	1932
ANIOL I JAKÓB, trzy dialogi —	1935

8 (396)

MARJAN PIECHAL

SREBRNA WAGA

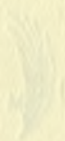


WARSZAWA—MCMXXXVI—KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

MARIAN PIŁCZAK

SREBRNA WAGA

— przedruk z książki —
— przedruk z książki —
— przedruk z książki —
— przedruk z książki —
— przedruk z książki —



WARSZAWA — KRAKÓW
Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11

DNO

Noc każdą niepojętą, dzień niezwykle każdy
odwracamy jak pełną mądrości stronicę,
zapatrzeni w nas samych, jak w księżyc i gwiazdy,
jak w sny nierozplątane, w groźne tajemnice.

Niemniej niż od gwiazd człowiek odległy od siebie
zamyka się, złożony z dni swoich, jak księga.
Ogromnieje w nim otchłań niemniej niż ta w niebie,
im bardziej głową białą ziemi czarnej sięga.

O, przepaści tragiczna, nienazwana słowem,
zionąca z czaszki ludzkiej pustym oczodołem!
Homer oślepl, gdy zajrzał, a ogłuchł Beethoven,
zanim jeszcze ich serca stały się popiołem.

OBRACHUNEK

Obrachować mi trzeba własne moje życie:
ile w niem było światła, a ile ciemności;
zliczyć daremne smutki, zdradliwe radości,
wszystko, com wygrał jawnie i com przegrał skrycie.

Coraz dłuższa się za mną smuga mroku ściele.
Zwątpiecie jak trucizna myśl bezradną nęka.
Słońce wśród martwych światów jak iskra w popiele.
Przepaść. I moja próżna nad przepaścią ręka.

Drzewa stoją w jesieni, która w mgle się mroczy.
Obnażone gałęzie. Mchem pokryta kora.
Patrzę na świat zwyczajnie. Świat zgasłe ma oczy.
Odmieniły się lata. Przyszła inna pora.

Od nieznanej gałęzi wichrem oderwany
liść jak język wydarty z ust w powietrzu woła.
A ja stoję w tej grozie, mgłą zimną owiany,
jak Tobiasz opuszczony nagle przez anioła.

PRÓBA WIARY

Wpośrodku oceanu, w mroku dookolnym,
zdany na pastwę losu i kaprys przypadku,
tryby dni swoich w trudzie obracam mozolnym,
jak galernik strącony na samo dno statku.

Dokąd płynę w obszarach nieobjętych brzegiem,
nieświadomy początku swego ani końca?
Za ilu fal upływem, ilu dni szeregiem
zakończy się ta podróż straszna i męcząca?

Niema normy na życie, a na śmierć lekarstwa.
Nie wybawi mnie słowo nabite natchnieniem.
Rozwali wkońcu wszystkie mamidla i łgarstwa
śmierć, która czyni życie jednym okamgnieniem.

I tylko świeci słabo jak księżyc na fali,
jak widmo zgasłej gwiazdy w głuchej atmosferze,
ta myśl jedna, od której serce jak dzwon wali,
że jest cel i jest słońce. Słońce, w które wierzę.

DEMON I MUZY

Dwa skrzydła czuję u ramion,
gołębie i nietoperze.
I nie wiem, czy bardziej w ziemię,
czy w niebo wątpliwe wierzę.

Bo ziemia też jest wątpliwa,
wciąż przeistacza się w niebo:
czas w rzekach wodą upływa
i cudem jest każde drzewo.

Z domów, co kruszą się w gruzy
w zgrzytliwych młynach stuleci,
gołębie zlatują muzy
i ziarna jedzą z rąk dzieci.

W noc wylaniają się z mroku
w katedrę stężale dzieje.
Zastyga rytm mego kroku
i czuję jak kamienieję.

Jak z wieży wdół się pochylam
nad życiem, otchłanią ciemną.
Jak klami zgrzytam co chwila.
O, muzy! już koniec ze mną.

APOKALIPSA

Halucynacją w śnie zatruty
ciemne wyrzucam z siebie słowa:
w gazy żrące i kolczaste druty
owinięta moja straszna głowa.

Okropna jak głowa Gorgony,
którą mroczne wyśniły wieki —
cofa się wzrok przerażony
pod zmartwiałe w grozie powieki.

Kurczy się rozum jak ślimak,
w czaszek wyschłych chowa się skorupy.
Zgniły otacza nas klimat,
rozkładają się myśli jak trupy.

Mózg, jak boa apokaliptyczny,
skręty swoje pod czaszką rozwiera
i wypelza z niej, lucyferyczny,
i sam siebie w swych płodach pożera.

Mieli rację w litery zakuci
eklezyjaści niedościgli,
że człowiek do ziemi powróci,
wypełniając przepowiednie Biblii.

DZIEDZICTWO

Gdybym nie był poetą, byłbym robotnikiem,
krok i ramię miałbym nie tak wątle,
dzień po dniu mierzyłbym mięśni swoich wynikiem,
w sercu płomień miałbym, a nie klątwę.

Ojciec mój świat podpalał swemi sztandarami,
uczytelniał historję pod brukiem.
Ja, syn jego, historję tworzę literami
i utrwalam w ziemi kroków drukiem.

Dziadek mój skiby czarne orał co rok pługiem,
odwracał je jak z nutami karty.
A ja, wnuk, odczytuję skib tych rzędy długie
melodyjnie jak śpiewnik otwarty.

I powtarzam teraz ich zdarzenia, ich życie
w moich wierszy litery rozpadle,
wszystko, co ojciec jawnie budował lub skrycie
i co dziadek wyorywał radłem.

Natchnionem biję piórem jak górnik oskardem
w bardziej twardą, niż kamień, stronicę.
Ojczy! Dziadku! ja życie tak samo mam twarde,
tylko serce wywrócone na nice.

CZAS

Cofnąć dzień, ach, zatrzymać te wściekle godziny,
te sekundy w galopie, te tętniące chwile!

Czas wysuwa się ze mnie jak z własnej przyczyny
i zostawia mnie za mną o lata i mile.

Jeszcze dawność przeżywam jak sny najlaskawsze,
w pęcherzykach płuc przeszłe kołysząc powietrze,
lecz już czuję się w tamtem stracony nazawsze,
wciąż bardziej oddalony o czas, niż o przestrzeń.

Krew pod skórą melodią opływa mnie czułą,
lecz dnem płynnej istoty rwą sekundy zimne.
Samo ze mnie się groźną ciągłością wysnuło
tragiczne niewstrzymane, konieczne, wciąż inne.

Wrogie! słojami wewnątrz układa się drzewa,
rośliny wyprowadza z trumiennego pudła —
strumieniem się mną ze mnie samego wylewa,
że odchodzę od siebie jak woda od źródła.

O, szkielecie wszechświata! O, wieczna przepastność!
Kręgosłupie lat w bezmiar rosnący daleki!
Zapomnienie mnie z ziemi zabiera na własność,
odrywa bezpowrotnie jak łzę od powieki.

GENEALOGJA

W milczeniu wiecznej nocy, rozpiętej nad nami,
rozbłysła przed wiekami niezbadana iskra.

Z niej poczęły się dzieje, wiatr między gwiazdami,
woda w rzekach, sok w drzewach i krew w żyłach bystra

Odtąd przez setne wieki, przez tysiączne lata
zjawiska rosły w ogrom, w bezmiar się mnożyły.
Płynęła krew żyłami poprzez obraz świata,
a świat krwią się w bezmiary wytaczał przez żyły.

Wiem już teraz, o ziemio, tajemnico czarna,
czemu krążysz dzień po dniu w odwiecznym porządku!
Jak ocean do źródła, roślina do ziarna —
tak koniec wiecznie głodny tęskni do początku.

MĄDROŚĆ

Mądrości twojej nie chcę, bo zimna jest jak mróz,
o Epikurze trzeźwy bez chimer i bez złudzeń!
Znam twoje gwiazdy martwe, srebrną Wagę i Wóz,
i wiem o życiu krótkiem i śmierci bez przebudzeń.

Nie pragnę szczęścia, mężu, niewzruszony jak bronz,
za cenę rezygnacji, gnuśnej zgody na wszystko.
Zrzuci mi liść na głowę topola albo wiąz
i już tańczę jak dzikus, który ujrzał ognisko.

Za nic mi doświadczenie, przeżyty cudzy dzień.
Sam muszę włożyć palce do rany jak najgłębiej.
Znam świat epikurejski—nie rzecz, lecz rzeczy cień,
i wiem, że żaden Chrystus nie zbawi mnie beze mnie.

KSIĄŻKA

O książko, cudzie wszelkiej naturze przeciwny,
kruche kartki papieru, powielone życiem, —
jakaż jest rola twoja, jakiż udział dziwny
między dniem rzeczywistym, a jego odbiciem!

Nie drzewa z ziemi rosną, ale fortepiany
o niezliczonej liczbie zielonych klawiszy.
Obraz nierzeczywisty, ale pomyślany,
trwający na twych kartach i słyszany w ciszy.

Jak tu miarę odnaleźć, jak ton wybrać czysty
z tego nieprzebranego urojeń przędziwa?
Sen mnie trapi prawdziwy, lecz nierzeczywisty
i jawa rzeczywista, ale nieprawdziwa.

ARYMAN

Ścigasz mnie nieustannie, o Arymanie mściwy,
w dzień nieuchronną jawą, w noc nieodpartym snem.
Na ziemi i na niebie mnożysz kształty i dziwy
trwożysz wiecznie zmiennem, niezgruntowanym dnem.

Każdy mój błąd rachujesz. Każdy mój grzech pamiętasz.
Rośnie z tych cegieł ciężkich kamienny we mnie zrąb.
Tam kona świat w zdarzeniach. Ja jestem zdarzeń cmentarz,
z martwych wstających we mnie bez archanielskich trąb.

Umarły sprawy świata — we mnie echo zostało,
żeby mogły dalej nierzeczywiste żyć.
Za ich niedoskonałość, za nędzę w życiu całą,
Arymanie gniewny, przestań się na mnie mścić!

TRUD CODZIENNY

Bardzo trudno dokopać się prawdy
z pod swych myśli o Tobie i snów.
Jeszcze trudniej i trud to zbyt twardy
z pod Twych własnych wydobyć Cię słów.

Szukam prawdy naszego wzruszenia
pod warstwą każdego dnia —
prawda przeczuciami bez imienia
wybucha ze mnie jak z pnia.

Poza dniem, pełnym snu, poza snem i Tobą
nic, prócz nocy czarnej jak smoła.
Więc pochylam się nad samym sobą
i wgląb własnej przepaści wołam.

EURYDYKA

O, Eurydyko, wciąż szukam ciebie.
Już wieki całe błędzę w ciemności.
Już mrok mnie w sobie jak ziemia grzebie
i mróz zwątpienia przenika kości.

Codzień mi złudnie pieją koguty,
że idzie światłość, od której dnieje.
Lecz mija ranek z miedzi wykuty
i znów noc mroczne wydycha dzieje.

Ucho przykładam do martwej ziemi,
do strun, do liter każdego rzędu,
do wody, wiatru, ciemnych płomieni,
gdzieżeś ukryte, źródło obłądu?

O, Eurydyko! Odgarnij chmurę,
choć wiem, że wtedy odejdę już stąd
i życie moje, lira, na której
grać nie umiałem, wypadnie mi z rąk.

ŻYCIORYS

Siedziałem nad rzeką Amurem,
gdy byłem chłopcem ośmioletnim,
ale dzieciństwo w groźną chmurę
uleciało ze mnie jak z fletni.

Z tą chmurą, rosnącą nad czołem,
wędrowałem później Europą,
obracałem ziemię z mozołem
rok za rokiem niestrudzoną stopą.

Aż poczułem, że z każdym krokiem
coraz głębiej w ziemię zapadam,
że odwiecznym strasznym wyrokiem
rozsypuję się w próchno jak Adam.

Teraz w każdą noc i w dzień białe
roślin wołam, by mnie zbawiły,
by mnie z próchną odczarowały
w kwiat swój wonny, w liść, w korzeń zawily.

INWOKACJA DO RÓŻ

Róże, różyczki, kępki strzępiaste,
płatki misternie wiatrem rzeźbione,
pąki przez ogień trawione własne,
garsteczki światła z pąków wytchnione,
sny, lodygami wyrosłe z gleby —
mówcie, jak można z tak czarnej ziemi
brać tyle skarbów na swe potrzeby?
jak czerpać barwy, zapach z przestrzeni,
wzniosłe sekrety waszych korzeni?

PISMO

Wszyscyśmy, myślę sobie, od śmierci zawieśli.
Ten tylko śmierć zwycięża w sobie, który myśli.
Jedna tylko ucieczka przed śmiercią: w legendę.
W tem tylko, co napiszę, zostanę i będę.
Nie spostrzegłem, tak myśląc, nieopatrznie dumny,
ze kształt książki im grubszy, tem bardziej do trumny
podobny. Tutaj właśnie kładę siebie żywcem,
kształtując z blachy w drewno oprawionym rylcem
to wszystko, czegom w życiu nie mógł i nie dopiął,
czując jak ręka z rylcem rozpada się w popiół,
w proch znaków na śnieg karty, w czarne ślady głosek,
dające symbol tego, gdzie w życiu nie doszedł,
w szkielet liter, w hieroglif rozsypane ciało,
które przyszłość ma złożyć w formę doskonałą.

POJEDNANIE

Drzewo z gruntu trysłe do obłoków,
chłodnym cieniem chodzących po ziemi,
ile jeszcze do mej śmierci kroków,
wyszeptaj języczkami zieleni?

Wiem, że słowem o ptaku, o drzewie,
myślą o tej, którą w sercu noszę,
drzewa, ptaka, dziewczyny i siebie
od wędrowki w ziemię nie wyproszę.

Nie ucieknę już przed własnym cieniem,
choćbym dalej łamał się w rozpacz.
Wiem, że liście opadną na ziemię
i że nigdy nie będzie inaczej.

KOŁYSANKA

I

Już nic nie słyszę, nie widzę,
nie wiem już nic, tylko czuję:
głowa jak kwiat na lodydze
treść ziemi od stóp przyjmuje.

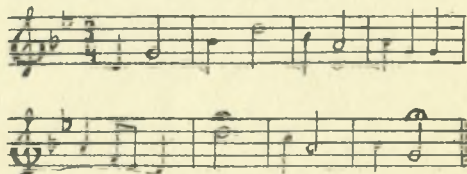
II

Cóż, że mnie ziemia pochłonie?
rozłoży na elementy?
Ułożę się w nową harmonję,
w kształt bardziej czysty i piękny.

III

Na cmentarz człowieczą mierzwę,
pod fujarkową wierzbineę.
Wiatr palec położy na wierzbę.
Melodją z wierzby wypłynę.

IV



RZECZ SŁOWICZA

Odetchnęła ziemia w zmierzchu mgłą wonną,
stał w niebie księżyc źródłany,
i odezwał się nagle nutą czułą i dzwonną
słowik z wrzátku śpiewności odlany.

Duch melodji szedł trawą, szedł drzewem
włókienkami, nerwami krętami,
zdźbła najmniejsze rozbudzone śpiewem
religijnie wyrastały z ziemi.

Łąka w srebrze jak mszał gigantyczny,
traw litery niezliczone i nuty —
odczytywał je słowik anheliczny
w liturgji ptaszęcej obkuty.

Duch melodji szedł ciałem mojem
włókienkami, nerwami krętami,
nie krwią w żyłach, lecz śpiewu zdrojem
zgodnym w rytmie z muzyką ziemi.

URODA ŻYCIA

Jak to miło ze snów, z dookoła
przywoływać do strof jak do domu
postać Twoją od stóp aż do czoła
nieoddaną oprócz mnie nikomu.

Słowem Ciebie nazwać — jakim? którym?
Każdy wyraz muzyką zatruty.
To Ty piszesz w mojej ręce piórem
nie litery na karcie, lecz nuty.

W Ciebie jedną wierzę bezprzytomnie,
zawsze za mną jak cień mój ukryta,
niewidoczna w mych słowach, lecz do mnie
jak do krzyża na wieki przybita.

ŻYCIE I ŚMIERĆ

Życie nasze, o miła,
wypełnione jest snami.
To one, krew pędząc w żyłach,
unoszą nas nad nami.

Nie bój się życia, miła,
istota jego w piosence,
ona cię ponad otchłanią
przeprowadzi za ręce.

Nie słuchaj trwożnie serca,
ile ma dni do wybicia.
Nie bój się śmierci, o miła,
śmierć łatwiejsza od życia.

DZIEJE

Nie wywalczą moich prawd armaty,
prawd, dźwiękami układanych w wiersze.
Z życia życiem aż do tchu utraty
wyprowadzą je melodie coraz szersze.

Te melodie wysnute przez życie
chowam w wiersze, kształtowane burzą,
wierząc, że burzę samą i piorunów bicie
wiernie kiedyś przed światem powtórzą.

Ze skupieniem w milczeniu i ciszy
zbieram nutki, od których dnieje.
Kropelkami, których nikt nie słyszy,
kropelkami liter spływam w dzieje.

NUTY CHOPINA

Tu kraj nasz, przywołany wspomnieniem dalekiem,
tak samo jak wspomnienie z melodji wysnuty,
przywalony jak trumną dziewiętnastym wiekiem,
z pomiędzy strun wyjęty, przemieniony w nuty.

Tu palcem z pod klawiszy wydobyte życie,
które w strunach milczących jak krew w żyłach płynie,
ułożone na wieczność w nutowym zeszycie
i zamknięte kluczami w basie i wiolinie.

Tu wreszcie człowiek żywy — żywy jego trud
czeka, aż sprawiedliwość z ciszy go odemknie,
aż pod natchnieniem dzioby otworzą się nut
i zmartwychwstanie życie, ocalone dźwiękiem.

MUZYKA

Karolowi Szymanowskiemu

Sen płynny, światło słyszalne,
żywołem w zmysłach rozlane.
Duch, który z piasku palmę
wyprowadza pod obłoki same.

Wątek niedocieczony
w czasie bez przestrzeni—
pozamaterjalną istotą stworzony,
nierzucającą cieni.

Sam nagi sens, obnażone sedno,
ostateczna racja wszystkich rzeczy —
to właśnie jedyne jedno
za trudne na rozum człowieczy.

Niedotykalne poruszy
religja czysta, muzyka,
wewnętrzny krajobraz duszy,
przed którym się oczy zamyka.

ŚPIEWKA JESIENNA

Janowi Lechoniowi

Owinęła mi głowę dymem
gorzka muza jesienna
idąca niebem sinem
od mgieł dalekich senna.

Dzieje płynące w przestrzeni
w strzępach liści z drzew zwisły.
Buntują się przeciw jesieni
roślinne moje zmysły.

Butwieją w ziołach, gniją w chwastach
myśli zdrętwiałe na drewno,
gorzką pleśnią dzień każdy obrasta,
zresztą — wszystko mi jedno...

Dzisiaj z głowy palce me ścierple
włos wyrwały przedwcześnie siwy.
Ukochałem jak mogłem i cierpię,
oj ta dana, ten świat nieszczęśliwy.

TAJEMNICA

Seledynowe niebo, zmierzch pod niebem senny
i rzeka w płaskich brzegach szeroko rozlana.
Cały krajobraz zgasły, mglisty i jesienny
jakby żywcem wyjęty z Puvis de Chavannes'a.

Nikła gwiazda na niebie, we wodzie odbita,
widmem niesamowitem głęb zmierzchu nasycy.
Zasypia zwolna ziemia, ciemnością nakryta,
i ja, najboleśniej z ziemi tajemnica.

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
<i>Dno</i>	5
<i>Obrachunek</i>	6
<i>Próba wiary</i>	7
<i>Demon i muzy</i>	8
<i>Apokalipsa</i>	9
<i>Dziedzictwo</i>	10
<i>Czas</i>	11
<i>Genealogja</i>	12
<i>Mądrość</i>	13
<i>Książka</i>	14
<i>Aryman</i>	15
<i>Trud codzienny</i>	16
<i>Eurydyka</i>	17
<i>Życiorys</i>	18
<i>Inwokacja do róż</i>	19
<i>Pismo</i>	20
<i>Pojednanie</i>	21
<i>Kołysanka</i>	22
<i>Rzecz słowicza</i>	23
<i>Uroda życia</i>	24
<i>Życie i śmierć</i>	25
<i>Dzieje</i>	26
<i>Nuty Chopina</i>	27
<i>Muzyka</i>	28
<i>Śpiewka jesienna</i>	29
<i>Tajemnica</i>	30

212 X X X Y

CONTENTS

1	Introduction
2	Chapter I. The History of the
3	Chapter II. The History of the
4	Chapter III. The History of the
5	Chapter IV. The History of the
6	Chapter V. The History of the
7	Chapter VI. The History of the
8	Chapter VII. The History of the
9	Chapter VIII. The History of the
10	Chapter IX. The History of the
11	Chapter X. The History of the
12	Chapter XI. The History of the
13	Chapter XII. The History of the
14	Chapter XIII. The History of the
15	Chapter XIV. The History of the
16	Chapter XV. The History of the
17	Chapter XVI. The History of the
18	Chapter XVII. The History of the
19	Chapter XVIII. The History of the
20	Chapter XIX. The History of the
21	Chapter XX. The History of the
22	Chapter XXI. The History of the
23	Chapter XXII. The History of the
24	Chapter XXIII. The History of the
25	Chapter XXIV. The History of the
26	Chapter XXV. The History of the
27	Chapter XXVI. The History of the
28	Chapter XXVII. The History of the
29	Chapter XXVIII. The History of the
30	Chapter XXIX. The History of the
31	Chapter XXX. The History of the

6



Printed in Poland

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA



WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

8 (396)

JAN LECHOŃ

KARMAZYNOWY POEMAT

✓
WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA MCMXXX J. MORTKOWICZ

*Drukarnia Naukowa T-wa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11.*

HEROSTRATES

*Czyli to będzie w Sofji, czy też w Waszyngtonie,
Od egipskich piramid do śniegów Tobolska,
Na tysięczne się wiorsty rozsiała nam Polska,
Papuga wszystkich ludów — w cierniowej koronie.*

*Kaleka, jak beznodzy żołnierze szpitalni,
Co będą ze łzą wieczną chodzili po świecie.
Taka wyszła nam Polska z urzędu w powiecie
I taka się powlokła do robót — w kopalni.*

*Dziewczyna, na matczyne niepomna przestrogi,
Nieprawny dóbr sukcesor, oranych przez dzieci,
Robaczek świętojański, co w nocy zaświeci,
Wspomnieniem dawnych bogactw żyjący ubogi.*

*A dzisiaj mi się w zimnym powiewie jesieni,
W szeleście rdzawych liści, lecących z kasztanów,
Wydała kościotrupem z pod wszystkich kurbanów,
Co czeka trwożny chwili, gdy ciało odmieni.*

*O! Zwalcież mi Łazienki królewskie w Warszawie,
Bezduśne, zimnym rylcem drapane marmury,
Pokruszcie na kawałki gipsowe figury,
A Ceres kłosołodną utopcie mi w stawie.*

*Czy widzisz te kolumny na wyspie w teatrze,
Co widok mi zamknęły daleki naścieszaj?
Ja tobie rozkazuję! W te słupy uderzaj
I bij w nie, aż rozkruszysz, aż ślad się ich zatrze.*

*Jeżeli gdzieś, na Starem pokaże się Mieście,
I utkwi w was Kiliński swe oczy zielone,
Zabijcie go! — A trupa zawleczcie na stronę
I tylko wieść mi o tem radosną przynieście.*

*Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze
Jesiennych wiatrów gędźba w półnagich badyłach,
A latem niech się słońce przegląda w motylach,
A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę.*

*Bo w nocy spać nie mogę i we dnie się trudzę
Myślami, co mi w sercu wzrastają zwątpieniem,
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę.*

DUCH NA SEANSIE

*Oto firanka u okna się słania.
Komety wlokąc za sobą liljowe,
On idzie. Księżyc z nad czoła odgania,
Co seledynem oblewa mu głowę,
Nieme z ust naszych biorący pytania,
Wieczystych tęsknot podźwiewki echowe —
Na płaszczu jego gwiazd srebrnych tysiące,
Przystanął. Z płaszcza otrząsa je drżące.*

*Znieruchomieliśmy wtenczas słuchacze
Mów pięknobrzmiących i dysput wygodnych,
Bo się nam zdało, że oto już płacze
Harfa, co węzów usypia głód głodnych,
Że oto trąbią na trąbach trębacze,
Szwedów gotowi gnać z Rusi precz — szkodnych.
Woń się fiołków rozlała po sali —
On stał. A myśmy na Słowo czekali.*

*Spirytystyczne pogasty wnet krzyże,
I sznur rąk opadł z stolika bezradnie.
Łowimy uchem, jak serce nam niżej
Na bicz koralu krwawiący, jak zdrańdnie
Wszystkie zamilkłe porusza w nas spiżę
I ból prawdziwy niemocy w nie kładnie,
Jak się w nas samych z nas samych zaśmiewa,
Tłukąc nam w serce, — poezji ulewa.*

*Więcemy w pierwszej tej chwili myśleli,
Że widmo pragnie obudzić w nas — siebie,
Że on nam wstąpi do duszy — Anbelli,
Płaczący, milcząc, na matki pogrzebie,
Że ból na tysiąc nas w Polsce rozdzieli,
Duchem rosnących w Ojczyzny potrzebie,
I z naszych wątpień nam ołtarz postawi,
Przez klucz strzeżony swych — z wierszy — żórąwi.*

*I tak poczęło w nas Męką coś gadać,
Ofiarną chustą z Chrystusa odbiciem,
Gdy z jego płaszcza jął tysiąc gwiazd spadać,
W doniczkach kwiatów rodzący się życiem.*

*Kłosa porosły, z ziarn których chleb zjadać
Będziem, a które nawożą się — gniciem,
I Balladyny z nich malin rósł dzbanek,
Które ma żywy zjeść wieczór — kochanek.*

*Drzwi biblioteki żelazem okute
Pchnął cicho, wchodząc do ciemnej izdebki,
I książki począł przerzucać: zatrute
I te, od których szedł w naród duch krzepki,
I te żołnierskie, pisane na nutę
Bojowej w polu Moskala zaczepki,
I wszystkie książki przepalał rękami,
Uśmiechem strojny — stojący przed nami.*

*Oto nad szablą zawisnął na ścianie
Xięcia Józefa konterfekt szerniały —
Ku niemu idzie! Ma w oczach kochanie,
Żar niewygasty pochodni — zapaly,
I kiedy w gardle się zrywa nam łkanie
Żołnierskich pieśni — drze portret w kawały
I w onych pieśni przepada nam jęku,
Czującym pęki kwitnących ziół w ręku.*

*Patrzajcie! Patrzcie! Skroś okno odpływa,
Na rydwan siada ciągniony przez pawie,
Aloes koła mu wozu okrywa,
Drogę sznurami wskazują żórawie,
Firmament nocą na niebie przerywa
Biczem, świecącym w gwiazd srebrnej sikławie —
Jedzie gdzieś, myśli płomieniem objęty,
Ten, co chciał z czynu na ziemi być święty.*

*Którzyśmy Słowa czekali stęsknieni,
Kłosa widzimy ubogie a żytnie,
Z lamp rozświetlonych w pokoju promieni,
Jak słońce jasne, pszeniczny dzień kwitnie.
Z łak Horsztyńskiego kosiarze strudzeni
Idą ze śpiewką radośnie a bitnie.*

*Xięcia Józefa konterfekt szcerniały
Na ziemi leży podarty w kawały.*

JACEK MALCZEWSKI

*Srebrzyste mają skrzydła, kąpane w zórz tęczach,
Nabrzmią mlekiem piersi i jurną pogodą,
W południa ciche letnie po łąkach tan wiodą,
Wirując lekko, sennie w ogromnych obręczach.
Przychodzą do mnie latem przez okna otwarte,
Popsutych koła młynów ruszają z chichotem,
Muskają twarz mi skrzydłem i włosów swych złotem,
Z żołnierzy szydząc moich stawianych na wartę.
Parobków przewalają leniwych po łąkach,
Spętane kare konie roznoszą pastwiskiem,
Do dziewuch — starych faunów rozśmieją się pyskiem,
Umilkną, zasluchane w podniebnych skowronkach.
Skoszonem pachną sianem, kwiatami i miętą,
W czuprynach mają brudnych okrucy ze słomy,
Gdzie mogą, wszystko kradną — i rzadkie są domy,
Jak dom mój niegościnnie — strojone na święto.*



*Jak moja skąpa chata, gdzie w kątach się smuci
Swoją brud i swoją podłość, a ściany powleka
Grzech wielki malowany narodu, i czeka
Dom pusty gospodarza, co kiedyś powróci.
W żołnierskim przyjdzie palcie, podszytem zgnilizną,
Przez oczy patrząc ślepe, promienne tęsknicą.
Da wiatrom siwą brodę — a wiatry ją chwycą,
W jej każdy włos się siwy wgryzając Ojczyznę.
Nie będziesz do mej chaty wstępował, Derwidzie,
Jak pielgrzym, dziad ubogi, co przyszedł do źródła,
Złocistą łamą ściany obiję w pokoju
I nawet psom z łańcucha dziś powiem: «Król idzie!»
Zamknęłam wszystkie okna, przez które się wkrada
Srebrzyste skrzydło jurnej dziewuchy o świecie,
Cykanie szarych świerszczów, ukrytych gdzieś w życie,
I faun obrosły, głupi, co bajki mi gada.
Zielone zgonię żuki, drzemiące na różach,
Motyle porozganiam i ptaki wypłoszę;
Niech cicho będzie u mnie. Tę ciszę przynoszę,
Mój ból, chorobę w polskich nabytą podróżach,
Mój pierwszy dzień — mą wiosnę, gdy z traw się podnosi
Niepokój letnich skwarów od ziemi gorącej,
Mój drugi dzień — me lato, mój zegar bijący,
Mój trzeci dzień — mą jesień, co zeschły łan kosi,*

*Mój czwarty dzień — mą zimę, gdy wszystko minione
Swym szklistym patrzy wzrokiem i mówi ci zdradnie:
«Błogosław życie swoje z oddali, co kradnie
Nadzieje młode wiosny, jesienią skoszone!»
Prastare wyjmę miody, zostało po tryźnie,
Chowane po piwnicach na Twoje tu przyjście.*

*Hej słyszę! Już w ogrodzie otrąca wiatr liście,
I Derwid idzie ślepy, wrócony Ojczyźnie.
Po drodze tupią fauny, trzaskają z kopyta,
Taraszą miękką trawę i gościa w dom wiodą.
Derwidzie! Hej! Derwidzie! Złe czeka nad wodą,
Bezmyślna, jurna dziewczka bezwstydnie odkryta.
Tęczami sennych skrzydeł po czole go muska,
Do ust mu lepkie wargi przykładą czerwone.
Hej! Młyny! Idą młyny — i woda w nich pluska.*

Na dzień dla żywych, dla mnie — na wszystko skończone.

SEJM

Gdy do sali wszedł sejmowej z wielkim animuszem,
Gwałt uczynił pan Zagłoba białym swym kontuszem.
Za pas słucki rękę włożył, srebrną ma deliję,
Drzwi otwarły się z hałasem: «Łuna! Łuna bije!»
Powciskani w ław szeregi zerwą się posłowie
I spojrzeli na się wzajem, w krzyżach czując mrowie,
Gdy tymczasem On, wylotów odrzucając, stąpa,
Aż zadrżała, zaskrzypiała polska chata skąpa.
Poszedł cichy szmer po frakach, poszedł po zakietach,
Rozglądają się biskupi strojni w fioletach,
Elektryczność w żyrandolach zaświeciła jasno,
Pan Zagłoba, niby w tańcu, drogą idzie własną.
Pomarańcze po doniczkach poruszyły liście,
Przed tem słońcem nadchodzącem, skrzącem się srebrzyście,
Oniemieli dziennikarze w swej prasowej łoży;
Nikt nie wiedział, że on przyjdzie i że kontusz włoży.

Rusza warta wojsk, mająca straż przy majestacie,
Bo się boją, że On zechce zabrać głos w debacie,
Że coś powie, co obrazi sal sejmowych ściany;
Ustępują z drogi wszyscy: myślą, że pijany.
Upił-że się, upił miodem, upił miodnem złotem,
Całą wychlał dziś piwnicę, spał przez chwilę potem.
Rankiem szatnych kazał wołać, w tabakierkę trzasnął,
«Na sejm jadę, na królewski! Kontusz dajcie!»—wrzasnął.
Czeka czwórka zaprzężona przed bielonym dworem,
Dwór przeżegnał pan Zagłoba zacnych ojców wzorem,
Bat zaświstał, kurz się podniósł, zaskrzypiały koła:
Czwórka pędzi, wicher gędzi, śmieją mu się siola.
Zasepionych zastał w sali, zagadanych górnice,
Wieniec kokot na galerjach, posłów na koturnie,
Budżetowej gwar dyskusji, szelest enuncjacji.
«Racja» izba zawołała. «Niema» krzyknął «racji».
Potracili głowy wszyscy, veto słysząc w sali,
Jeszcze jeden krok postąpił: wprost do tronu wali.
Pobiegały posłom wargi, poszedł chrzest po straży,
Zerwał król się na swym tronie, twarz mu ogień żarzy.
Wziął pod ramię go Zagłoba, dał tabaki niucha
I coś szepce, mruga okiem — cały sejm go słucha.

*Co to? Co to? Śmiech zatrząsnął miłościwym panem;
Coś powiedział kanclerzowi z licem roześmianem,
Coś powiedział senatowi kanclerz jak w sekrecie,
Gruchnął gromem śmiech biskupów strojnych w fiolecie.
Usłyszeli go posłowie. Stanów zniknął przedział,
Śmiechem jurnym się zbratali nad tem co powiedział:
Staropolską zwykłą fraszką, sprośnym, tłustym witzem,
Powiedzianym roześmianem i pijanem licem.
Tynk obleciał na suficie: śmiech o szyby bije,
Z ław się zerwał sejm i krzyknął: «Polska niechaj żyje!»*

*Aż za oknem podskoczyły u pojazdów koła,
I coś pędzi i coś gędzi, w głos się śmieją siola.*

POLONEZ ARTYLERYJSKI

— *To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.*

*Siew pada w ziemię szrapnelami,
I dym i grom i burza z nami,
Piekielny deszcz ze stali.*

*Na firmamencie chmury chmurzą
Brunatne z armat dymy.
Raz po raz ziemia jęknie burzą,
Ślepią się dziko armat mrużą,
Przy których my stoimy.*

*Od ognia czarni, dymem syci
I wiecznie czuwający.
Armaty — grom i ból i wici,
Baterja ryknie w głos, gdy chwyci
Wasz szept zmartwychwstający.*

Miarowo dudni, zcicha, zcicha,
Bez przerwy, bez ustania!
Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania...

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Czy przeciw nam wy, czy też z nami?

Gadamy do was kartaczami;
Nie dusi dym i krew nie plami,
I jeno ogień pali.

Za nami będą mówić ciszą

I łzami i modlitwą...

Armatom ognia!! Niechaj dyszą!

Hej! Ognia! Ognia! Słyszczą, słyszczą,
Że w bitwie idziem bitwą.

Konnicy koniem, zbrojną ręką
Po swoje iść piechocie.

Jaką grał Bem pod Ostrołęką,
Taką nam zagrać dziś piosenką

I w pułk moskiewski rozwinięty
Chrzest śłać, piekielny chrzest i święty
Kapłanom przy robocie.

*Dudni nam ziemia, dudni, dudni,
Radujcie się, majorze!
Tako się Polska nam rozcuśni,
Gdy skwarny przyjdzie czas południ
Na nasze krwawe zboże.*

*Słyszycie! Zcicha, zcicha, zcicha,
Warkotem, bez ustania...
Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?
Pulk się za pulkiem w śmierć przepycha.*

*To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania.
Ani się pyta kto dziś z nami
Baterja wścieklej stali —*

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pulki wali.

MOCHNACKI

*Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I zwolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyzłacanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji, — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.*

*Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie,
I mały, smutny strumień z pod ręki mu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawjaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.*

*Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!
Nie. Równy, równy rosą w jakiś smutny taniec,
Rozdrganą klawjaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.*

*Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci,
Jakiś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżącą
I czuje tuż przy piersi nieznosne gorąco,
I tysiąc światel w oczach, w czyjejś twarzy dołki,
I zapach... białej sukni, ubranej w fiołki.*

*Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonjer stanęło przy luncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze.
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci.
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświeci.*

*Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...*

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — —

*Ostrogą spiął melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko —
I ton jeden uparcie wybija — nazwisko!!!
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem,
I znów wraca ku górze zółtawionym dzwiękiem —
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawjaturę owinąć w sztandary.
Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozplócenia w duszach,
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity,
I wszystkie karabele jedną ujął dłońią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią,*

*Aż struna się ugięła, ta w górze, płaczliwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.*

*Po martwej, głupiej strunie, po siołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakieś białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! Mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.*

*A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z bukiem rzucił czarne wieko
I spojrział — taką straszną, otwartą powieką.
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:*

«Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!»

(W R. 1832 MAURYCY MOCHNACKI KONCERTOWAŁ W METZU).

PIŁSUDSKI

*Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca
I gałęzie choiny potrąca idąca —
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,
I idzie wprzód jak senna, z ręką tragicznym gestem,
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,
I świt się robi naraz. I staje złękniiony.
Poblądle Robespierri cisi, smutni, czarni,
Wychodząc, z bukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.
Tylko słysząc nóg tupot na ulicy pustej
I szept cichy. Trup jakiś z zbieletemi usty.*

*I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.
Pod lila abażurem mrugają lampiony.*

*Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość,
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,
I mazur, biały mazur w ogłupiałej sali:
Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury koralu.
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem,
Hołubce o podłogę walą, biją grzmiotem,
Białe panny i panny niebieskie, różowe
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę
I mówią czarnym frakom: «Przyjdźcie do nas jutro!»
I podają im usta za podane futro.*

*A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,
Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.
Menuetem się cichym wiolonczela żali,
I białe margrabiny przychodzą z oddali.
Na liljowych oparach spływają bez słowa,
I pannier rozłożyła markiza liljowa.
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!
I tańczą bafty, sprzączki, koronki, plumaże.*

*A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin
Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.*

*Drze ciszę dysonansem, wali w okiennicę,
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,
Na place rozkrzyczane w potępieńcze ryki,
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:
Otworzyć wszystkie okna!! Niech ludzie zobaczq!!*

*Wielkimi ulicami morze głów urasta,
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem
I krzykną wielką ciszą... lub głosów miljonem.
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze —*

Aż nagle na katedrze zagrali trębaczq!!

*Marjackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,
Później dzielią się bielą i krwią i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą,
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem,*

*A konie? Konie walą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterji.
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerji!
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!*

A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

PANNIE HELENIE SULIMIE.

PANI SŁOWACKA

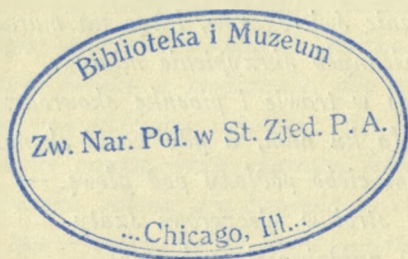
Gdy on się laurowego dosługuje wieńca
W dymie poczęstów, w poezji liljowym oparze,
Gdy srebrnym gwiazdom tęsknić, kwiatom mówić każe —
Ona, dama najpierwsza białego Krzemieńca,
W starym dworku z modrzewia, gdy wieczór oddycha
Mokremi bzu kiściami i księżyc się skrada
Przez drzwi ganku, przy czarnym fortepianie siada
I w półmroku salonu gra Szopena zcicha.
Gdzieś tam — wszystko to jedno — daleko czy blisko —
Nieszczęście krwawi serca i wyludnia domy:
Pod oknem rano dzwonek zadzwieczał znajomy,
Zegnając się, mówiono porwanych nazwiska.
A potem na niesporach był dziś tłum w klasztorze,
Dzwon się długo nad miastem kołysał i żalił,
Aż zaszedł dobry wieczór i gwiazdy zapalił,
I wszystko może stać się, co się stać nie może.

*Dla nas to są te parki o zielonych wodach
I zmurszałych posągów szeptane powieści,
Dla nas cicho staw pluszcze i trzcina szeleści,
I wiatry alejami płaczą po ogrodach.
Już się koncert wieczorny rozbija na głosy,
I wiatr, co przywiał z łąki, żartuje ze świecą,
Do salonu przez okno cmy złężnione lecą,
Miłośnię marzą róże pod kroplami rosy.
Ile tylko w tem Polski, tyle jest nam prawie,
I mamy ją u siebie, nocą zachłyśnięci:
Będziem mieli ją jutro, omdleli, pośnięci,
Wysłuchani w granie świerszczów, leżąc na murawie.
Pod żórawi studziennych skrzypienie miarowe,
Pod brzęczenie kos w trawie i piosnkę skowronczą,
Będzie zwolna szła ku nam, a gdy kosić skończą,
Wonne siano nam cicho podłoży pod głowę. —
Na bal się teraz stroi w wieczorowe szaty
I otwiera flakony najdziwniejszych woni,
Tren gwiazdami srebrzony wypłynął z jej dłoni
I muska po wazonach rozmarzone kwiaty.
Nie przyjdzie do ofiarnych, zapomni o bitnych,
Ominie wszystkich mądrych, a wytrwałych zdradzi:
Cichy walc ją Szopena po nocy prowadzi,
Zapłakany od rosy i drzeń aksamitnych.*

*Już przyszła. Nie. To tylko rokokowe cacka
Na serwance się wdzięczą, tylko cienie drżące.
Tak, to ona: poznaję jej oczy marzące.*

— — — — —

Lecz nie wiem, czy to ona, czy pani Słowacka.



SPIS RZECZY:

	Str.
Herostrates	5
Duch na seansie	7
Jacek Malczewski	11
Sejm	14
Polonez artyleryjski	17
Mochnacki	20
Piłsudski	24
Pani Słowacka	28

Z GŁOSÓW PRASY O UTWORACH
JANA LECHONIA

KARMAZYNOWY POEMAT

Wydanie trzecie.

„Jako dzieło sztuki jest KAZMAZYNOWY POEMAT najświetniejszym tworem najmłodszej poezji naszej, a siłą pomysłów i ukształtowania poetyckiego sięga wogóle szczytów naszej twórczości artystycznej...”

(Andrzej Boleski—„Nowiny Codz.”)

„Żaden może z poetów polskich, nie wyłączając Słowackiego, nie zaczynał swojej kariery od takich fenomenalnych utworów, jak *M o c h n a c k i*.”

(A. Grzymała—Siedlecki—„Rzeczpospolita”)

SREBRNE I CZARNE

(NAGRODA WYDAWCÓW) Wydanie drugie.

„Lechoń nie dba o ilość, lecz o jakość. Jak Paul Valery od czasu do czasu wydaje niewielki zeszyt poezji, a potem milczy, umie milczeć. W milczeniu tem jednak dojrzewa i dochodzi do zrozumienia siedmiu grzechów głównych, których istotę żłobi rylcem na brązowej tablicy swej poezji, zdobywając się na zwięzłość, powagę i dostojność inskrypcji.”

(Z. Dębicki—„Kurjer Warsz.”)

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA

„Typ satyry Lechonia łączy harmonijnie dwie największe zalety, izolowane zwykle niesłusznie: komizm i obiektywną prawdę. Ponad niepoważedniami zaletami dojrzałego artysty unosi się najprawdziwsze znamię iskry bożej — głęboki liryzm.”

(Władysław Zawistowski—„Kurjer Polski”)

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA PIERWSZA:

Wincenty Korab Brzozowski
DUSZA MÓWIĄCA

Stanisław Korab Brzozowski
NIM SERCE UCICHŁO

Zdzisław Dębicki
OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

Józef Jedlicz
NIEZNANEMU BOGU

Zygmunt Krasieński
POEZYJE WYBRANE

Bolesław Leśmian
SAD ROZSTAJNY

Bronisława Ostrowska
CHUSTY OFIARNE

Bronisława Ostrowska
LIRYKA FRANCUSKA I/II

Juljusz Słowacki
PISMA MISTYCZNE

Juljusz Słowacki
UTWORY LIRYCZNE

Aleksander Szczęsny
TO CO SIĘ STAŁO

Cena tomiku od zł. 1.20 do zł. 2.—, w opr. od zł. 2.20 do zł. 6.—

NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
w Warszawie, Mazowiecka 12. Telefon 244-14

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA:

Zł.

- St. Baliński* — *WIECZÓR NA WSCHODZIE* 2.50
w opr. ozd. 5.50
- K. Iłłakowiczówna* — *ZWIERCIADŁO NOCY* 3.50
w opr. ozd. 6.50
- Jan Kasprówicz* — *KSIĘGA UBOGICH* 3.—
Wydanie czwarte w opr. ozd. 6.—
- Jan Lechoń* — *KARMAZYNOWY POEMAT*
Wydanie trzecie
- *SREBRNE I CZARNE* 2.—
Wydanie drugie w opr. ozd. 5.—
- Leopold Staff* — *UCHO IGIELNE* 4.—
Wydanie trzecie w opr. ozd. 7.—
- Juljan Tuwim* — *CZYHANIE NA BOGA*
Wydanie czwarte
- *RZECZ CZARNOLESKA* 4.50
w opr. ozd. 7.50
- *SIÓDMA JESIEŃ* 3.—
Wydanie trzecie w opr. ozd. 6.—
- *SOKRATES TAŃCZĄCY* 4.—
Wydanie czwarte w opr. ozd. 7.—
- Kazimierz Wierzyński* — *LAUR OLIMPIJSKI* 1.50
Wydanie piąte w opr. ozd. 4.50
- *PIEŚNI FANATYCZNE* 3.—
w opr. ozd. 6.—
- *ROZMOWA Z PUSZCZĄ* 3.—
w opr. ozd. 6.—
- *WIOSNA I WINO* 3.—
Wydanie czwarte w opr. ozd. 6.—
- Józef Wittlin* — *HYMNY* 3.—
w opr. ozd. 6.—
- Juljan Wołoszynowski* — *POTĘGA SNU* 3.50
w opr. ozd. 6.50

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

Karmazynowy poemat.

UTWORY POETYCKIE

<i>Baudelaire K.</i> KWIATY GRZECHU. Przekł. Cz. Kozłowski.	Zł. gr.
skiego.	2.—
	opr. 7.—
<i>CHIAKUNIN IZSZU</i> (czyli ze stu poetów po jednej pieśni)	
Zebrał i przełożył R. Kwiatkowski	1.—
	kart. 1.50
<i>Dante Alighieri.</i> VITA NUOVA. Nowe życie. Komentarz	
i przekład A. Górskiego.	1.60
	opr. 3.60; opr. w skórę 26.60
<i>DYWAN WSCHODNI.</i> Antologia poetów wschodnich. Wybór arcydzieł literatury egipskiej, asyro-babilońskiej, hebrajskiej, arabskiej, perskiej i indyjskiej. Zebrał i ułożył A. Lange	3.—
	kart. 4.20; wyd. lepsze opr. 6.60
<i>FLETNIA CHIŃSKA.</i> Przekł. L. Staffa	2.50
	kart. 4.—; opr. w matę 5.—
<i>Itkownik I. K.</i> POŁÓW.	5.—
	opr. 11.—
<i>Kasprowicz J.</i> TANIEC ZBÓJNICKI. Cztery plansze, inicjały i zakończenia wykonał w drzeworycie Wł. Skoczylas.	
Wydanie ozdobne na papierze bezdrzewnym	20.—
<i>KLEJNOTY POEZJI STAROPOLSKIEJ.</i> Nowa antologia. Ułożył, wstępem i przypisami opatrzył G. B. Baumfeld na lepszym papierze opr.	3.50
<i>Leonardo da Vinci.</i> BAJKI (FAVOLE). Przekład i wstęp L. Staffa. Ilustracje według rysunków Leonarda.	6.—
	opr. 10.—; opr. w skórę 27.50
	opr. w zamaz 30.—
<i>Leśnian B.</i> ŁĄKA.	1.20
	kart. 2.50; opr. 5.—
<i>Louys P.</i> PIEŚNI BILITIS. Przekł. L. Staffa.	1.50
	kart 2.50; opr. w skórę 10.—
<i>Michał Anioł Buonarrotti.</i> POEZJE. Przekład, wstęp i przypisy L. Staffa	4.50
	opr. 9.—; opr. w skórę 25.—
wydanie ilustrowane rysunkami Michała Anioła opr.	16.—
	opr. w skórę 30.— do 35.—

	Zł. gr.
<i>Morkowiczówna H.</i> JARZĘBINY.	3.—
— NIEPOTRZEBNE SERCE.	3.—
<i>Or-Ot.</i> PIEŚŃ O RYNKU. (w przygotowaniu).	
<i>Rilke R. M.</i> PIEŚŃ O MIŁOŚCI I ŚMIERCI KORNETA KRZYSZTOFA RILKE. Przekład H. Grubera. kart.	1.20
<i>Słowacki J.</i> ANHELLI. Okładka, inicjały i ilustracje W. Bo- rowskiego. Tekst na podstawie pierwodruku opracował A. Boleski. Wyd. ozdobne.	20.—
<i>Staff L.</i> ŚCIEŻKI POLNE.	1.50
	kart. 2.50
<i>Tagore Rabindranath.</i> OWOCOBRAŃIE. Przekł. L. Staffa.	1.20
	kart. 2.20
U POETÓW. Przekłady z poezji francuskiej, belgijskiej i włoskiej XIX wieku. Tłumaczył i zebrał Miriam.	2.80
	opr. 5.80
<i>Zawistowska K.</i> POEZJE. Z rękopisów wydał i wstępem poprzedził St. Wyrzykowski. Przedmowa Miriamą. Z portretem autorki.	1.60
	kart. 3.—; opr. 4.20
<i>Zegadłowicz E.</i> DZIEWANNY. Poemat. (MCMXIX— MCMXXVI).	20.—
	opr. 27.50

Oddzielne książki „Dziwann”:

— GODY PASTERSKIE.	5.—
	cpr. 9.—
— NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.	5.—
	opr. 9.—
— POWSINOGI BESKIDZKIE.	4.—
	opr. 8.—
— REZUREKCJE.	3.—
	opr. 7.—
— WIATR WIOSENNY.	3.—
	opr. 7.—
— WIELKA NOWINA.	5.—
	opr. 9.—
— ZMYŚLY.	4.—
	opr. 8.—



